

9.
IGNACY A. KOMOROWSKI.

WSPOMNIENIA PODCHORAŻEGO

z czasów

W. Ks. Konstantego.

(z ilustracjami)



6 1946
WARSZAWA.

DRUKARNIA

A. T. Jezierskiego.

47. Nowy-Świat 47.

W-87/72
CZYT. GŁÓWNA

9172



26955

Дозволено Цензурою.
Варшава 4 Мая 1900 года.

Wspomnienia Podchorążego.

1049 8 1733



Yzw. 146.

b.

Dr. Bierzyński
26. XI 47

104

WSTĘP

Było to w roku 1834.

Siódma wybiła, wicher dął z właściwą północnym krajom wściekłością, miotając śniegiem, układającym się w coraz to nowe, coraz fantastyczniejsze pagórki.

W dużym, ciepłym pokoju, gdzie zwykle mężkie zbierało się towarzystwo, palił się wesoly ogień na kominku.

Było to w moim domu.

Kilka osób, które z nami święta Bożego Narodzenia przepędziły, nie mogły się dla zawieruchy rozjechać. Obszerny dom ułatwiał wygodne pomieszczenie gości, gawęda czas skracala.

Siedziało nas czterech przy kominie: ja, mój teść pan Franciszek, mój szwagier pan Jakób i pan Józef.

Pan Franciszek, zazwyczaj wesoly, w domu gościnny, uprzejmy, mając zawsze jakąś facecyjkę dawną do opowiadania, siedział tym razem smutny, zamyślony, milczący, w ciepłym szlafroku i grubym obwinięty szalem.

W drugim pokoju kipiał samowar; około okrągłego stołu siedziały damy i młodzież, dopomagająca wesolo nigdy niewyczerpanej konwersacyi o modach,

strojach i nadchodzących zapustach; dzieci na boku swawolily.

Niewinny komerażyk, dowcipnie rzucony, wzbu-
dzał ogólną uwagę lub śmiech powszechny. Chwa-
lono ludzkie przymioty, ale jeszcze częściej nie
szczędzono przygan ułomnościom. Wreszcie zawe-
zwano nas do herbaty.

Pan Franciszek, pod pozorem, że jest w szla-
froku, nie chciał ruszyć z miejsca, podziękował za
herbatę i kazał sobie zrobić ciepłej limoniady.

Choć już w wieku dość podeszłym, ale zdrów,
silny, przyzwyczajony otyły, obdarzony doskonałym ape-
tytem, czerwony na twarzy, był tego mocnego prze-
konania, że na suchoty zachorować może. Ta myśl
trawiła go, ile razy dostał kataru; bo jakiś uczony
doktor wyrzekł, że katar do suchot prowadzi naj-
krótszą drogą.

Chcieliśmy zostać dla jego towarzystwa, lecz
nie pozwolili.

Poszliśmy więc do kobiet, gdzie, wypiwszy po
parę filiżanek chińskiego nektaru, pośmiawszy się
w wesołym towarzystwie, wróciliśmy na nasze da-
wne stanowisko.

Pozapalano cygara; zaczęła się gawęda.

Wszyscy, oprócz pana Franciszka, byli dawni-
mi wojskowymi; więc z porządku rzeczy była mowa
o rozmaitych wypadkach tego w ogólności awantur-
niczego życia.

Pan Franciszek nic nie mówił.

Bojąc się, żeby go nie nudzić, zaproponowałem
ulubionego lombberka. Odmówił, utrzymując, że słu-
chając nas, doskonale się bawi. Ręcę, że nie słu-
chał, tylko myślał o strasznych następstwach kataru.

Nastąpiła chwila milczenia.

Przerwał ją Józef Zieliński, były oficer drugiego
półku strzelców pieszych:

— Wspomnienia naszej ostatniej wojny, krót-
kiej, że tak powiem, w bardzo ciasne ramy ujętej,

są nadto bolesne, nadto oklepane, żeby o nich mó-
wić, bo któż ich nie zna? Gdybym był pewnym,
że was i szanownego pana Franciszka nie znudzę,
przeczytałbym niektóre epizody mego życia w gar-
nizonie.

Zaręczywszy, że nam wielką zrobi przyjemność,
przyłożyłem kilka świeżych polan do ognia.

Józef zapalił nowe cygaro, dobył z pugilaresu
mały seksternik, odchrząknął, wytarł nos, zagłębił się
w fotelu, założył nogę na nogę i zaczął czytać.

— Urodziłem się w Galicyi. Rodzice moi niemajątni, trzymali przez długie lata dzierżawę w dobrach jednego z najbogatszych panów tego kraju. Szczęście im nie sprzyjało. Ognie, nieurodzaże, grady i inne nieprzewidziane wypadki prześladowały. Wychowanie staranne kilkorga dzieci uszczuplało niewielkie fundusze.

Przyjechałem na wakacje po skończonej filozofii we Lwowie w r. 1821. Bogobojni moi rodzice, idąc za dawnym przysłowiem: „Kto ma księdza w rodzinie, temu bieda nie dobodzie”, uradzili między sobą, żeby mnie do stanu duchownego namawiać.

Nie miałem wprawdzie powołania, ale powolny radom z serca i potrzeby dawanym, chcąc jak najprędzej uwolnić ich od ciężaru mego utrzymania, w nadziei, że z czasem będę im nawet mógł być pomocą, postanowiłem po zdrowym namyśle przywdziać, po skończonych wakacjach, sukienkę seminarzysty; ale jak to mówią: *L'homme propose, Dieu dispose*, inaczej się stało. W stałem przedsięwzięciu opuszczenia świata i jego uciech, chciałem jeszcze korzystać z ostatnich chwil wolności: odwiedzałem więc to sam, to z rodzicami liczne nasze sąsiedztwo.

Razu jednego pojechaliśmy z całą rodziną do powszechnie poważanej w okolicy pani cześnikowej. Pobożna pani ta, a wielka przyjaciółka mojej matki, pochwaliła obranie stanu i obiecywała modlić się,

ażebym, zostawszy księdzem, do najwyższych w tym zawodzie mógł dojść godności.

Ucałowałem ze łzami jej rękę, ale czy te łzy pochodziły z wdzięczności, czy z żalu za światem, dziś prawdziwie nie wiem.

Tam zastaliśmy jej zięcia, majora Kępskiego, który z Polski na urlop przyjechał z żoną do matki.

Pan major, człowiek jeszcze przystojny, ozdobiony dwoma krzyżami wojskowemi, okryty wielu bliznami, nadzwyczajnie słodki i miły w towarzystwie, czysto, elegancko, ale zawsze według formy ubrań, bardzo mnie zainteresował.

Śluchałem z zajęciem jego opowiadań, nacechowanych piętnem prawdy. Każde jego słowo tkwiło mi w pamięci, coraz też więcej nabierałem pociągu do wciętego mundurku, do świecących się szlif; coraz bardziej czarna sutanna traciła dla mnie urok.

Postrzegł to major, podobala mu się moja postawa i skromność, a wypytawszy się, jakie mam nadal zamiary, naśmiał się serdecznie z myśli moich rodziców, którzy moją figurę chcą na wieki w czarny schować worek.

Nie tracąc czasu, zaczął ich zaraz namawiać, żeby zaniechali tej myśli, lecz oddali mnie do wojska, gdzie pewnie wielka czeka mnie karyera i gdzie mi swoją obiecywał protekcję.

Pojechaliśmy do domu.

Matka płakała, ojciec się zamyślał. Oboje ciągle radzili coś między sobą. Ja nic nie mówiłem, ale bardzo posmutniałem.

Po trzech dniach namysłu rodzice, czując instynktem, że mi plan majora bardzo do smaku przypadł, zgodzili się na jego propozycję, widząc w tem palec Opatrzności.

Ol gdyby matka była wiedziała, że pan major nie był katolikiem, tylko kalwinem, nigdy nie byłaby pozwoliła, żebym poszedł za jego radami.

Gdy już postanowienie moje stało się nieodzo-

wnem, pojechał ojciec do Lwowa, żeby mi uzyskać paszport pod pozorem odwiedzenia krewnych w Polsce (jak to się zazwyczaj wtenczas robiło), a ja z matką udaliśmy się znów do pani cześnikowej dla pomówienia z majorem o dalszem postępowaniu.

Urlop majora kończył się za dwa tygodnie. Żonę zostawiał u matki, sam zaś za dni czternaście musiał być w Warszawie koniecznie, gdzie pułk jego razem z całem wojskiem o tym czasie do obozu miał przemaszerować.

Powiedział nam więc, że jeżeli za dziesięć dni będę gotów do podróży, to mnie z sobą zabierze, natychmiast wielkiemu księciu Konstantemu przedstawi i do pułku swego zapisze.

Napomniiał mnie, żebym wiele nie brał z sobą manatków, bo to się na nic nie przyda. „Jeden frak porządny do wystąpienia nim mundur przywdziejesz, a surdut na drogę; teraz lato, płaszcza nie potrzeba, bo mam krytą bryczkę; lepiej mieć kilkadziesiąt złotych w kieszeni, to zawsze się przyda, a pieniądze szanuj, bo do domu daleko, a tam nikt nie da“.

Zbliżał się dzień wyjazdu. Rodzice i rodzeństwo odprowadzili mnie; zastaliśmy na dziedzińcu pakującą się bryczkę majora. Dałem do niej moje zawiniątko, a po śniadaniu, po czułem pożegnaniu, po wielu łzach wylanych i błogosławieństwach, ruszyliśmy.

Żyd furman z poblizkiego miasteczka Sokala zwawo zaciął cztery dobre konie.

Bez popasu zajechaliśmy do granicy.

Przebywszy komorę austriacką, z wielkiem biciem serca zbliżałem się do Polski.

Biało z czerwonym pomalowana rogatka rozdzielić mnie miała od wszystkiego, co dotąd znałem, od wszystkiego, co kochałem; podniosła się na nasz widok; przejechaliśmy. Wszystkie przedmioty, objające się o moje oczy, były dla mnie nowe. Mowa ojczyzna urzędników, orły na słupach, wysmukli i spry-

tni dońcy na małych zwinnych koniach, uwijali się koło granicy, jakby ich służba tylko zabawką była. Czas był piękny, słońce zaszło, a księżyc w pełni z drugiej strony zaczął się pokazywać.

Pożegnaliśmy naczelnika komory, u którego byliśmy na wieczerzy; dawny to był znajomy majora, były oficer, staruszek, pełen życia i wesołości, miał dwóch synów w wojsku; na wsiadanem kazał jeszcze przynieść butelkę wina, i wypił nasze zdrowie. Podziękowaliśmy, żyd znów konie zaciął, i już późno w nocy stanęliśmy w Hrubieszowie.

Przespawszy się kilka godzin, zrana pan major odprawił żydka, który nas wiozł tak dobrze, napisał przez niego kilka słów do żony, dał pięć złotych na piwo i posłał swego fagasa po pocztowe konie.

Nim zaprzęgli, przyszedł do nas miejscowy porucznik żandarmów, Białoskórski, stary oryginał, wielki służbista, ale przytem poczciwy człowiek i powszechnie poważany. Będąc jeszcze bardzo młodym, zaczął zawód wojenny w huzarach austriackich. Stojąc ciągle za granicami Galicyi, zapomniiał ojczyznojęzyka. Po roku 1809 przeszedł do huzarów polskich; zawsze jednak utrzymywał, że nie ma huzara, tylko Węgier, że wszystkie inne naśladowania są tylko lichą parodią. Kłął po węgiersku, z węgierskiej krótkiej fajki ciągle palił, spluwając co moment, często po mundurze. Lubiał bardzo opowiadać odbyte kampanie włoskie, szczególnie zaś oblężenie Mantuy, gdzie wszystkie konie, koty, nawet szczury powyjadali. Gdy wpadł na tę materję, a cierpliwych znalazł słuchaczy, nie było końca.

Uściskał rękę majora, pytał co słychać w Galicyi, jaki tam pułk huzarów stoi, znał bowiem skład i historję każdego z nich i o każdym byłby nam gadał, gdyby trąbka pocztowa nie zawiadomiła, że już wszystko gotowe.

Uścisnęli się na pożegnanie, mnie poklepał po

ramieniu i napomniął, żebym się dobrze prowadził, zdrowie szanował i służby pilnował.

Ruszyliśmy, konie pomykały, pocztylion trąbił wesoło.

Major, który dnia wczorajszego milczał prawie ciągle, dziś się rozgadał. Opowiadał mi, jak już w siedemnastym roku życia swego został chorążym w pruskiej piechocie. Opisywał mundur, półtoralokciowy harcap, fryzowaną i pudrowaną głowę, nad wszystko chwalił subordynację, która tam istniała, mówiąc i słusznie, że bez niej wojsko egzystować nie może, że jest podstawą porządku i waleczności.

W bitwie pod Jeną lekko ranny, dostał się do niewoli, a przy zawiązaniu się wojsk księstwa Warszawskiego wstąpił jako porucznik do 13 pułku piechoty. Opowiadał dalej, jak źle mówiąc po polsku, trudną mu była z początku komenda; jak dostrzegłszy to jeden z faworytów księcia Józefa Poniatowskiego, a chcąc go rozerwać, wyprowadził na plac musztry, gdzieś rekrutów uczyli.

— „Chcąc się popisywać w obecności naszego wodza (a było nabijanie na 12 tempów), przekreśliłem już niejeden wyraz; następowała komenda „odkryj panewkę!” zapomniałem, zaczerwieniłem się; w tem adjutant figlarz szepce z nienacka „odgryź panewkę!“. „Odgryź panewkę!” zakomenderowałem na cały głos; wszyscy w śmiech, tylko nasz książę ze zwykłą sobie dobrocią zbliżył się do mnie, chwyląc postawę rekruta, i rzekł odchodząc: „z panewką ostrożnie, bo zęby stracisz”. Jakby wieszczym duchem przepowiedział, bo pod Mołajskiem, gdzie odkomenderowany z kompanią, otoczony zostałem przez cały pułk kirasyerów, oficer przyskoczył do mnie na koniu, wzywając do poddania się. Tylko co miałem na takie wezwanie zakomenderować „ognia!” strzelił do mnie *a bout portant* z pistoletu i wylał wszystkie przednie zęby. Żołnierze nie czekali komendy, drugi szereg sygnął celnie, oficer padł, przeszyty kil-

ku kulami, kilkunastu kirasyerów zważyło się z końmi, i zrobili rodzaj wału. Uformowani w kupkę, cofaliśmy się w porządku, powoli, ciągle otaczani, ciągle ścieląc trupów po drodze, nim nam pomoc przysłała“.

„Francuzi, co nas mieli za zgubionych, brawo dawali; nie straciłem żadnego z moich ludzi, a podany do raportu cesarzowi, ozdobiony zostałem nazajutrz krzyżem legii honorowej“.

Major coraz w lepszym humorze, ciągle opowiadał; poczta leciała, i anim się spostrzegł, jakżeśmy się zbliżyli do Krasnegostawu.

Co za widok uroczy przedstawił się tam oczom moim! Na polu blisko miasta, cztery linie ruchome siwych koni, białe jak śnieg rabaty, białe rogacie czapki, białe z granatowem chorągiewki na lancach, migotały poruszane lekkim wiatrem i ruchem koni.

Oficerowie na dzielnych anglezowanych rumakach przebiegali przed frontem; muzyka na skrzydle grała jakiegoś prześlicznego marsza.

— Co to jest, panie majorze?—zapytałem w uniesieniu.

— To drugi pułk ułanów, jeden z najpiękniejszych w Europie, przygotowuje się do marszu na manewry do Warszawy. Właśnie zaczęły defilować. Jeżeliś ciekawy, zostań tu i patrz. To mówiąc, wyciągnął zegarek. Ja w Krasnymstawie zabawię dwie godziny, ani minuty dłużej, znajdziesz mnie na pocztce.

Wyskoczyłem uradowany pozwoleniem i zbliżyłem się ile było można.

W zachwyceniu podziwiałem całość, jednostajność ruchów, odstępów, masę koni i składowość wszystkich szczegółów, składających umontowanie.

Defilada się skończyła; muzyka naprzód pomaszowała, a ja, nie zważając na kurz, biegłem jak student koło wojska.

— Jak się masz, Józeffe? — odezwie się głos z frontu. — Co tu robisz?

Nie poznałem odrazu, kto do mnie przemówił, aż przypatrzwszy się, ujrzałem szkolnego kolegę, przed dwoma laty dzieciucha, dziś przystojnego podchorążego.

— Znacie go panowie? — rzeknie Józef, położwszy na stoliku seksternik i zapalając zgasłe cygaro — był tu niedawno z tą piękną blizną przez całą długość nosa, którą sobie z pod Stoczka wyniósł.

— Eustachy! — zawołaliśmy razem.

— Tak jest, poznał mnie.

Józef wziął seksternik znów i czytał dalej:

— Jadę do Warszawy, wstępuję do wojska.

— Pewno do ułanów?

— Nie, do piechoty.

— Co! chyba żartujesz, któż cię do tego namówił?

— Major K. i bierze mnie do pułku, w którym sam służy.

— Major K.! winszuję, ale nie zazdroszczę; słyszycie, co on gada? — rzekł, odwróciwszy się do kolegów. — Pękać od śmiechu, na honor. Chodź z nami, bo już miasto, nie będę mógł z tobą gadać.

— Za broń! — zakomenderowano.

Żołnierze wzięli lance w rękę, podoficerowie i oficerowie dobyli pałaszów, muzyka stanęła przed kwaterą pułkownika, cały pułk w paradzie przeciągnął i rozszedł się po koszarach i kwaterach.

Eustachy stał w mieście z kilkoma podchorążymi, zsiadł z konia, uściśkał mnie serdecznie, przedstawił kołegom, i dalej perswadować, żebym sobie piechotę z głowy wybił, a namawiać, żebym z nimi został.

— Krótko mówiąc, „rób jak chcesz“ — rzekł Eustachy, belkocząc trochę dla pośpiechu, jak wiecie. Ale zawsze zanotuj sobie, że ułany, to ułany, i nie ma pana nad ułana. Patrz, co to za chłopcy,

jeden w drugiego. Wiesz, że w okolicy nie ma balu, żadnego wesela, nawet stypy, żeby nas nie proszono. Wszak prawda, koledzy?

— O co prawda, to prawda — odezwali się chórem podchorążowie, śmiejąc się serdecznie.

— Bez ułanów nie ma zabawy, nie ma ochoty. Wszystkie kobiety przepadają za nami, my wszystkie serdecznie kochamy i potrochu bałamucimy; a żaden cywilus, ani piechur przystępu ani tyle nie ma — dodał, pokazując na pazur. — Rabaty, szlify, kordony, lampasy i ostrogi jak magnes do siebie ciągną. A służba? to zabawka: wyjeżdża się na pięknym koniu jak na spacer, muzyka wesoło przygrywa, śmiechy ciągłe, wesołość, koncepty ożywiają szeregi; a po mustrze umizgi, dobre życie, wieczorami tańce, to całe nasze zatrudnienie. A w piechocie łazisz w błocie, nikt nie widzi, czy w berlaczach, czy w pantoflach, dźwigasz karabin jak polano za pańszczyznę do gorzelni, aż się uginasz; patrolasz krzyże ci łamie, płaszcz stoczony piersi ci dusi, a cielak *mee-e-e*; nikt się nie popatrzy na piechura, a jeszcze czasem, chłop gdy wraca z jarmarku i konie zacina, zapyta śmiejąc się: „Panie żołnierzu, poczemu łokieć cielęciny?” i popędzi, obryzgawszy cię od ucha do pięty. Aż wszyscy dyabli biorą człowieka, jeżeli choć trochę ma uczucia w sercu, a oleju w głowie. Jeszcze ci raz po przyjacielsku powiadam: zostań z nami, porzuć tego nudziarza, luterskiego kaznodzieję, twego protektora, bo wspomnisz moje słowo, że będziesz żałował. Choć zostaniesz oficerem, to cóż dalej? przypasziesz się do szpady jak kucharz do rożna, ale na tym rożnie nie będzie co upiec.

— Chętniebym z wami został, ale znasz moje maie fundusze; życie w konnicy więcej kosztuje, a zresztą major powiada, że w piechocie prędszy awans, sam mnie wiezie do Warszawy i obiecuje protekcję.

— Ej, nie ma z tobą widzę rady, rób jak chcesz.

— Długo tu zabawicie?

— Dwie godziny od chwili jak z bryczki wyskoczyłem, major na poczcie czekać będzie.

— Dwie godziny? to już nie wiele czasu do stracenia, wypij z nami kieliszek wódki na drogę i ruszaj co masz nóg, bo ci pewnie minuty nie da ruje, a pieszo do Warszawy na próbę nóg dyablo daleko.

Zawołana fertyczna żydówka wyniosła butelkę, wypiliśmy, uścisnęli sobie ręce, jak dawni już znajomi, Eustachy odprowadził mnie kawałek drogi, pokazał pocztę, a żegnając powiedział: Szkoda, że nie słuchasz mojej przyjacielskiej rady.

Zastałem majora. Zobaczywszy mnie, dobył zegarka.

— Jeszcze dwie minuty. Podobaś mi się, akuratność, to pierwsza cnota żołnierza!

Zaprzężono; ruszyliśmy. Wódka, na czczy żołądek nalana, rozmarzyła mnie, zacząłem drzemać, we śnie ciągle mi się snuły po głowie białe czapki, siwe konie i furkotanie chorągiewek.

— Co to za podchorąży, co cię odprowadzał na róg ulicy? — zapytał major, gdy się przebudziłem.

— To Eustachy, syn sąsiada pani cześnikowej.

— Pewnie cię do ułanów werbował?

— Tak jest, panie majorze, bardzo mnie namawiali, żebym u nich został.

— Piękny pułk, nie ma co mówić; ale to nie dla ciebie. Młodzież bogata może sprostać zaprowadzonemu w jeździe zbytkowi; twoi rodzice nie są w stanie wystarczyć, żebyś z drugimi stanął na równi. Albo byś musiał żyć zupełnie samotnie, albo byś w długi załazł, a za długami dyshonor i hańba. Piechota mniej może świetna, ale za to pierwsza broń; przekonasz się z czasem najlepiej; a jeżeli się wojny

doczekasz, zobaczysz, jak nieraz te piękne ułany ciśnąć się będą pod opieką karabinów.

Noc już była, jakeśmy stanęli w Lublinie.

Zajechaliśmy do oberży, trzymanej przez Francuza na Krakowskiem. Pierwszy raz jadłem we francuskiej restauracji. Wieczera była wyborna, ale i apetyt niegorszy po całodzienniej jeździe i głodzie z laski ułanów.

Nazajutrz rano major się ubrał paradnie, a wychodząc, rzekł:

— Muszę się zameldować w placu i u generała; to potrwa najdalej do jedenastej. Masz kilka godzin czasu. Obiegnij miasto, a na pół do jedenastej bądź w kwaterze. Pojedziemy, żeby dziś jeszcze być w Warszawie. Chcę mieć parę dni wolnych, nim pułk przemaszeruje.

Wszyscy znają Lublin, sławny z unii, sławny z trybunałów i pięknych kościołów. Nie będę go opisywał. Mnie to wszystko nie obchodziło wtenczas; wstępując do wojska, wojska tylko szukałem, wojsko zobaczyć było jedynym celem moim.

Posłużyła mi niedziela. Cały garnizon wystąpił pod bronią na paradę kościelną; nieliczny wprawdzie, bo oddziały, w czynnej służbie będące, dnia wczorajszego poszły do obozu.

Stanął na placu broni batalion rezerwowy 3 liniowego, rezerwowego szwadron 1 ułanów pieszo; amarantowe jego czapki i rabaty przypomniały mi arcydziela Werneta, które nieraz podziwiałem. Kilku poważnych żandarmów i kilkunastu weteranów, dwóch generałów, adjutantów i oficerowie służbowi, całą składali paradę.

Ach, jak mi się to wszystko pięknem wydało! Nie mogłem nasycić oczu. Po mszy św., którą razem z nimi wysłuchałem, wróciłem do kwatery, niecierpliwy, żeby już jak najprędzej zajechać do Warszawy, tego celu wszystkich moich życzeń i nadziei



Pomny na głód wczorajszy, zjadłem w restauracji obfite śniadanie; przy nim zastał mnie major, zasiadł przy osobnym stoliku z drugim sztabs-oficerem.

Jedząc, coś cicho i długo rozmawiali, poczem zapłacił za mnie i za siebie, pożegnał się z kolegą. przebrał się na drogę i zaraz ruszyliśmy dalej.

Nie zatrzymując się nigdzie, oprócz stacyj pocztowych, zajechaliśmy dobrym zmrokiem na Pragę, z kądem przy świetle księżycy pokazała się w całej okazałości na przeciwległym wysokim brzegu rzeki Warszawa.

Po zameldowaniu się na rogatkach, przelecieliśmy przez tę tyle razy nieszczęsną Pragę; przebyli most wolnym krokiem, wydrapaliśmy się ciasnymi przykremi ulicami po niegodziwym bruku na górę i zostawiając Zamek na prawo, a zwróciwszy się na lewo, koło kolumny Zygmunta, stanęliśmy na Krakowskim w hotelu Gerlacha.

Major się przebrał i zaraz do miasta ruszył. Ja to samo uczyniłem. Mając adres mego wielkiego przyjaciela, który od roku był urzędnikiem w komisji wojewódzkiej, a dawniej kochał się w siostrze mojej, polecałem do niego.

Tylko com się zbliżył do domu, w którym mieszkał na Starem Mieście, spotkałem go we drzwiach; uściskaliśmy się serdecznie; siedł właśnie do kawiarni i wziął mnie z sobą. Tam, zasiadłszy w kącie, opowiadaliśmy sobie wszystko, co nas obchodzić mogło; oświecił mnie w wielu bardzo rzeczach. Mówił, że i on tu przyjechał pełen nadziei i uludy, ale z czasem się przekonał, że iluzje zawsze iluzjami i prędzej, czy później rozwijają się, zostawiając po sobie tylko gorzkie doświadczenia i rzeczywistości. Obiecał mnie zaraz nazajutrz zapoznać z moimi przysłymi kolegami galicyjskimi.

Potrzeba o tem wiedzieć, że choć to wszystko Polska, ale rodowości prowincjonalne, szczególnie

w niższych stopniach, mniej więcej z sobą się tylko trzymały.

Po 10-ej odprowadził mnie do hotelu. Major wkrótce nadszedł, znał Stanisława (tak się nazywał mój przyjaciel) i oddał mu list od matki, w którym, o ile zauważyłem, był skromny zasiłek pieniężny.

Nazajutrz rano rzekł do mnie major, wychodząc: Dziś masz cały dzień dla siebie; używaj go, jak ci się podoba, tylko o tem pamiętaj, że jesteś w Warszawie; a że w Warszawie jest Wielki Książę Konstanty, jeżelibyś przypadkiem zobaczył zdaleka kocz zaprzężony 4-ma kasztanowatemi końmi w poręcz, a w nim generała w kapeluszu z wielką kitą, stań pod murem, wyprostuj się, zdejm kapelusz, bo to Wielki Książę. Jeżeliby kazał stanąć i zawołał cię, co się czasem wydarza, gdy ujrzy nową twarz w mieście, odpowiadaj śmiało, z uszanowaniem; a jeżelibyś się zagawronił i kapelusza zdjąć zapomniał, mógłbyś się zobaczyć na przywitanie z kozą. Nie zawadzi, tembardziej, że wstępujesz do wojska, każdemu generałowi się ukłonić. Bywaj zdrow; może ci wieczorem powiem, kiedy przed Jego Cesarzewiczowską Mością naczelnym wodzem stawić się będziesz mógł.

Pojechał major dorożką, a za chwilę przyszedł Stanisław.

— Wyprosiłem się u mego szefa, biorąc na cały dzień urlop. Zaczniemy od początku, chodźmy na śniadanie.

Zaprowadził mnie do skromnej traktierni na ulicy Niższej Senatorskiej. Tam na pierwszym piętrze był bilard i kilka stolików; usługiwały przystojne dwie dziewczyny; stary wąsaty Serb, Szagona, niegdyś winiarz we Lwowie, trzymał ten zakład, uczęszczany przez Galicyanów. Stanisław był tu jak w domu; zarządził obfite, ale niewytworne śniadanie, a zjadłszy i popiwszy sławnem owsiem, mującem piwem, puściliśmy się na miasto.

Najpierw udaliśmy się do koszar gwardyi grenadyerów. Wielki tam ruch panował, gdyż pojutrze pułk wychodził do obozu. Zaszliśmy do Grabowskiego, starszego sierżanta, u którego zazwyczaj Galicyanie się schodzili. Dziś był tak zajęty wybieraniem się swojej kompanii, dystrybucją jednych, a odbieraniem drugich rekwizytów, że zaledwie mógł się z nami przywitać, dał nam *rendez vous* w obozie za tydzień, gdzie we własnym baraku będzie mógł swobodniej grać rolę gospodarza. Poznałem tylko u niego podchorążego Krajewskiego, z którym po kilku latach miałem się zejść w Zamościu.

Zadziwiły mnie porządek, czystość i elegancja w koszarach. Podłogi w salach, gdzie stali żołnierze, wymyte, wyskrobane, świecące się, jak gdyby nikt nigdy po nich nie chodził. Prycze, każda na dwóch ludzi, czystymi, białymi kocami jednostajnie ponakrywane; półki, na których stała broń, kaszkiety, tornistry, w gustowne trofea poukładane. Wszystko to w jednej chwili rozebrane i w jednej chwili złożone być mogło. Tak Wielki Książę lubił, tak chciał i tak być musiało.

Wracając, pokazał mi Stanisław kuchnię; ogromna sklepiona sala biała, widna, czysta; w kilku świecących się kotłach gotował się obiad dla całego pułku.

Posadzka kamienna, białym, jak śnieg, posypana piaskiem. Z jednej strony stały przygotowane małe cebrażeczki czyste, jak gdyby dopiero co z rąk bednarza wyszły, w nich roznoszono jedzenie po salach.

— Taka będzie wkrótce twoja restauracja — powiedział Stanisław. — Czystość zastępuje porcelanę. Jedzenie zaś, choć proste, ale smaczne i zdrowe, bo nieraz W. Książę niespodzianie wpada w czasie obiadu i z pierwszego lepszego kotła każe sobie podawać strawę. Biada całej inspekcji, jeżeli jest źle urządzona.

Opuściliśmy koszary.

— Ta wyprawa nam się nie powiodła; zapomniałem, że całe wojsko w ruchu; ale daruj gryzię. Zaprowadzę cię teraz do Saskiego ogrodu, tam się zatrzymamy, nim się zacznie parada na Saskim placu; ta nigdy nie chybi, chyba mróz wyższy 18 stopni, a i to czasem dla przypodobania się W. Księciu fałszywy termometr podstawia.

Zaszliśmy do ogrodu, a siadłszy na odległej kamiennej ławeczce, tak, żeby nas nikt podsłuchać nie mógł, Stanisław mówił dalej półgłosem.

— Wielki Książę, oddany jest duszą i ciałem służbie wojskowej, którą zna nawylot, jak nikt na świecie; żaden szczegół nie jest mu obcy, zaczawszy od bębna, na którym tarabani, jak najlepszy dobosz, aż do najwięcej skomplikowanej taktyki, zaczawszy od guzika, aż do wszystkich odcieni administracji wojskowej; wszystko zna tak, jak gdyby się całe życie jednemu szczegółowi tylko poświęcał.

Ale otóż i bębny słychać, chodźmy, żeby sobie znaleźć dobre miejsce, zobaczysz, czegoś jeszcze nigdy nie widział, zobaczysz W. Księcia; pamiętaj zdjąć kapelusz, jak wszyscy zdejmować będą, i ani słowa nie mówić.

Mówiąc o W. Księciu Konstantym i o paradzie zmiany warty na Saskim placu lub w obozie, muszę skreślić jego zwyczaje i obyczaje, oraz zatrudnienia przedpołudniowe, które się nigdy na włos w czasie piętnastoletniego jego pobytu w Warszawie nie zmieniły.

Parada zaś, jedynym i tymże samym trybem odbywana, doszła do takiego stopnia precyzji w najmniejszych szczegółach, że obcy wojskowi, zwiedzający czasem Warszawę, podziwiali tę akuratność, którą z niczem innem porównać nie można było, jak z machiną, poruszającą marynetki. Żaden chronometr regularniejszym być nie mógł, jak te codzienne

W. Księcia parady, do których on tak wielką przywiązywał wagę.

Kto widywał codziennie paradę na Saskim placu, ten wiedział na minutę i sekundę, co po czem następować powinno.

Czasem tylko Wielki Książę nakazał, ażeby w maszerowaniu krokiem paradnym palce od nóg mniej lub więcej poziomo się nachylały, żeby broń, która mocny szlag wydawała, raptem ręką jak najśilniej ujęta i uderzona, te same ruchy w największej cichości odbywała.

Zmiany jeszcze dawały się widzieć w zamienieniu kamaszów na szarawarki, białych płaszców na szare, które już nie jak kiszka dusiły i załamywały deskę piersiową, ale zwinięte w okrągły krótki walek, i obleczone ceratą, na tornistrze się przypinały. Nakoniec zmiana w przypinaniu tornistrów lederwerkami, do pasa przytwierdzone. To ostatnie było dla oka bardzo ładne, ale nadzwyczajnie szkodliwie działające na wątrobę i śledzionę, które nieustannie duszone pasem, do ciężkich chorób doprowadzały.

Takie ulepszenia wypracowywane były w głównym sztabie W. Księcia i przez niego sankcyonowane ku największej wygodzie żołnierza, a zaprowadzane w armii.

Było zwyczajem u W. Księcia, że obiad gotował się od wschodu słońca do zachodu, żeby na każde zawołanie był gotów, a kolacya od zachodu do wschodu.

Co kilka godzin zmieniali się kucharze i, jak mówili, potrawy niespożyte, odsyłane być miały do Dzieciątka Jezus, ale za to ręczyć nie mogą.

W. Książę miał kilka czwórek kasztanowatych wiackich, jednej maści koni; zawsze dniem i nocą jedna z nich zaprzężona stała koło stajni, na każde zawołanie. Co cztery godziny zmieniano czwórkę. Ten sam porządek istniał co do koni wierzchowych.

W. Książę latem i zimą wstawał przed godziną

4, natychmiast się sam golił, starannie umywał i zimną wodą zlewać się kazał. Późem ubierał się już na cały dzień, najczęściej w mały mundur gwardyi kirasyerów podolskich, to jest frak zielony z żółtymi wylogami, z epoletami generalskimi srebrnymi i akselbantami, jako pierwszy adjutant cesarza. Czasami brał na siebie mundur gwardyi ulanów konnopolców, ale to tylko wtenczas, jeżeli na bal iść musiał, bo nie cierpiąc trzewików, w których wszyscy oficerowie występować musieli, oprócz ulanów, tym sposobem nie był przymuszony do tego nie milego mu stroju.

Generalskiego munduru nie lubił i nigdy go nie brał na siebie od czasu, jak w litewskim korpusie kolor amarantowy zastąpił pasowy, w reszcie armii rosyjskiej na wyłogi używany.

Przed świtem czekali już w przedpokoju Belwederu: Rożniecki, Hauke, Rautenstrauch, a czasami niektórzy z oficerów żandarmeryi. Wpuszczeni po herbacie do salonu przez kamerdynera Kochanowskiego, rozmawiali z W. Księciem mniej więcej przez godzinę. Te rozmowy wieczna pokrywała tajemnica, i nigdy one z tej komnaty na świat nie wychodziły.

Późem otwierały się podwoje do wielkiego salonu, do którego W. Książę razem z wymienionymi generałami wchodził.

Wpuszczano najsamprzód posyłki (ordynanse) szkoły podchorążych pieszej, oraz posyłki gwardyi konnej rosyjskiej i polskiej, po pojedynczym oficerze i żołnierzu, podług starszeństwa pułków. Ta ceremonia trwała dosyć długo, bo W. Książę kazał im często wykonywać pojedynczo różne obroty i robienia bronią na ślizkiej, jak szkło, posadzce. Jeżeli czasem który, poślizgnąwszy się, upadł, rzadko się za to gniewał, tylko śmiał się do rozpuku i, naturalnie, wszyscy się śmieli i podnosili przestraszonego nieboraka.

Posyłki, komenderowane do Belwederu, wycho-

dziły z koszar w neglizu, to jest w okolicznościach, starych płaszczach i furazerkach. Efektu zaś, to jest mundury, broń, lederwerki, kaszkiety i buty, nieśli za nimi odkomenderowani na ten cel żołnierze, wszystko jak najstaranniej wyczyszczone, wybielone, wyglansowane i wylakierowane, wszystko ponakrywane prześcieradłami. Za każdą posyłką szło 4 do 5 posługaczy. Procesja była ogromna, dodawszy do niej starszych sierżantów, poruczników i kapitanów.

W Belwederze na dole była duża sala z kominiem, na którym zimą i latem ogień się palił, przy którym wtłaczano kirasyerów w wilgotne łosiowe spodnie i na nich je obsuszano. Tam się odbywała tułeta.

Po ubraniu się i dopasowaniu całego przyboru pod okiem sierżantów, zaczynała się lustracja, zaczawszy od poruczników aż stopniami do generałów, na koniec adjutanci W. Księcia ostatnią rękę kładli na tem arcydziele. Każdy zazwyczaj znalazł coś do poprawienia, każdy kręcił przedmiotem ciekawości i troskliwości, każdy trząsł i szturchał biedną ofiarę formy.

Starzy żołnierze, do tego przyzwyczajeni, znosili ze stoiczną rezygnacją te codzienne męczarnie; młodzi, szczególnie rekruci, głowy tracili.

Po skończonym meldunku dostawał każdy z posyłek od kamerdynera Kochanowskiego pó filiżance kawy lub lampeczce kwaśnego wina.

Garnizon warszawski składał się zwykle z pułku grenadyerów gwardyi rosyjskiej, z pułku strzelców pieszych tejsze gwardyi, z pułków kirasyerów, ułanów i huzarów gwardyi rosyjskiej, z oddziału kozaków gwardyi czerwonych, lejbgwardyą zwanych, z kozaków czarnomorskich, z baterii pozycyjnej gwardyi pieszej i z takiejże konnej gwardyi rosyjskiej, dalej z pułku grenadyerów i strzelców konnych gwardyi polskiej i baterii konnej pozycyjnej tejsze gwardyi, z batalionu saperów, z czwartego puł-

ku liniowego, z ośmiu kompanij grenadyerów i z czterech karabinierów liniowych, z batalionów weteranów czynnych i inwalidów. Do tego trzeba dodać szkołę podchorążych pieszą i konną. W obudwóch byli wcieleni podchorążowie, czyli junkry gwardyi rosyjskiej.

Po skończonej ceremonii meldunkowej adjutant dyżurny W. Księcia przedstawiał mu cudzoziemców przejezdnych, których W. Książę podług honoru i kraju, z którego przybywali, przyjmował.

Gdy się i to skończyło, wybiegał z salonu, i z Kurutą, pierwszym swoim adjutantem, wskakiwał do powozu, i jechał do pałacu Brühlowskiego, a jeśli wojsko było skoncertowane pod Warszawą, do obozu.

To się działo o godzinie dziewiątej.

Zajechawszy do pałacu, wpadał bocznemi drzwiami do salonu, gdzie na przybycie jego czekali adjutanci całego garnizonu, ustawieni szeregiem. Na czele adjutant żandarmeryi, za nim gwardyi polskiej i rosyjskiej, za tymi pułków liniowych po starszeństwie. Każdy, jeden za drugim, występował z szeregu i ze schyloną głową, ze zdjętą rękawiczką z prawej ręki, oddawał raport i napowrót do szeregu powracał.

Po raporcie przechodził Wielki Książę, a za nim wszyscy obecni do drugiego salonu, gdzie mu jeden z adjutantów przybocznych przedstawiał generałów i pułkowników, mających własne prywatne interesy, lub prośby o urlopy dla podkomendnych. Nakoniec meldowały się posyłki pułków pieszych.

Pó odbytem meldowaniu postępował z całą swiutą do ostatniego ogromnego salonu, od głównego wchodu. Tam czekali wyroków aresztowani oficerowie, żołnierze i aresztanci cywilni.

Na drugiej stronie salonu stała młodzież, zaciągająca się z własnej woli do wojska.

Tych przeznaczał do pułków podług własnej woli.

Nie cierpiał W. Książę, jeżeli młodzież z prowincyj chciała wstępować do wojska polskiego. Za wielką tylko protekcją faworytów generałów udawało się czasem, przy dobrym humorze, wymóżyć na nim przychylene się do prośby kadeta.

Gdy się już wszystkie ceremonie odbyły w pałacu, wychodził z niego przez główną bramę pieszo, a za nim wszyscy oficerowie, na Saski plac, gdzie już uszykowana stała parada.

Paradę składali zwykle:

1. Jeden cały batalion gwardyi polskiej lub rosyjskiej, albo batalion 4-go liniowego, lub saperów; a że te bataliony były mniejsze od gwardyjskich, więc do nich dodawano po dwie kompanie wyborcze z pułków liniowych, stojących w Warszawie.

2. Z jazdy, jeden pluton gwardyi polskiej lub rosyjskiej, który po paradzie stał przez 24 godziny w stajni na Saskim placu, i zwał się rozjazdowym.

3. Wszyscy generałowie, pułkownicy, stabs-oficerowie, adjutanci pułkowi i batalionowi, znajdujący się w Warszawie.

4. Wszyscy starsi sierżanci i podoficerowie po dwóch z każdej kompanii, do odebrania parolu i rozkazów.

Porządek stawania był następujący:

a) Batalion służbowy plecami do odwachu pod Białym Orłem zwanego.

b) Kompanie dodatkowe plecami do sztabu placu.

c) Pluton kawaleryi i wszyscy podoficerowie, plecami do Saskiego pałacu.

d) Wszyscy zaś zgromadzeni oficerowie, plecami do stajni rozjazdowej, formowali trzecią ścianę czworoboku.

Major placu, podówczas pułkownik Axamitow-

ski, odebrawszy od wychodzącego z bramy W. Księcia rozkazy, siada na konia, staje na środku placu i komenderuje całą paradą.

Wojsko broń prezentuje, dobosze i trębacz biją „generał-marsz.“

Wielki Książę, zaczawszy od jazdy, obchodzi ze switą cały plac popisu.

Obszedłszy i pozdrowiwszy z osobna każdy oddział, który głośnie odpowiada: „Życzymy zdrowia Waszej Cesarzewiczowskiej Królewskiej Mości! po polsku lub po rosyjsku, podług tego, jak Wielki Książę przemówi, staje naprzeciw środku batalionu służbowego. Na komendę: „Na ramię broń!“ Całe wojsko stoi, jak mur, z oczyma zwróconemi na W. Księcia. Na komendę: „Bij zbór!“ Dobosze biją zbór austriacki. Po odegraniu, major placu komenderuje: „Prezentuj broń! i na ramię broń!“ poczem: „Panowie oficerowie i podoficerowie przed środek! Marsz!“

Po tej komendzie, wszyscy dowódcy wart z miejsca swego, jak promienie do ogniska, maszerują krokiem podwójnym, nie zbaczając z dyrekcyi ani o linię, i stają naokoło majora. Ten znów komenderuje: „Na warty dziel się!“ Po tej komendzie, adjutanci batalionowi tych pułków, co wartę dają, podnoszą prawą rękę do góry i komenderują: „pierwszy pluton!“ po tej komendzie oddzielają się warty stosownie do potrzeby. Major placu komenderuje: „Panowie oficerowie i podoficerowie na swoje miejsca, marsz!“ Natenczas każdy, zrobiwszy „lewo w tył“, wraca tą samą drogą i tym samym krokiem do swego oddziału i staje na prawem skrzydle swej warty. Na nową komendę: „Rachuj się!“ występują wszyscy razem o krok naprzód i przeliczają, czy są wszyscy ludzie pod bronią, co skuteczniejszy, wracają znów na prawe skrzydło. Major komenderuje: „Cała parada! do defilowania plutonami! Na odstęp plutonu! Dyrekcyja na prawo! Krok podwójny! Marsz! Marsz!“

Cała parada rusza się, dowódcy wart na czele swoich oddziałów obchodzą plac naokoło.

Przed pierwszym plutonem idzie muzyka, która, zrównawszy się z W. Księciem, stojącym na prawo kolumny, zachodzi ztąd naprzeciw niego, uważając na takt, jaki mu się wybijać podoba.

Oficerowie, zbliżając się do W. Księcia, robią o pięć kroków pół obrotu w prawo i salutują szpadami, podoficerowie zwracają do niego twarz.

Po przedesfilowaniu naokoło placu raz lub dwa, podług rozkazu, udają się oddziały na swoje odwachy. Major placu odjeżdża ze środka i zsiada z konia. Poczem defilują jeszcze adjutanci i podoficerowie; formują kółko na środku placu, gdzie już na nich czeka gubernator miasta Lewicki, generał, od którego odbierają ustne parole, które, odebrawszy, wracają do reszty oficerów.

Po odbytej całej ceremonii z piechotą przykłada W. Książę kulak do ust, i udając trębacz, daje sygnał plutonowi jazdy. Generałowie i pułkownicy kawalerii sygnał ten na wyścigi tym samym sposobem powtarzają. Odsuwają się trębacze, pluton przykróca cugle i stoi w gotowości.

Nim drugi sygnał nastąpi, meldują się posyłki wszystkich pułków kawalerii, stojących w Warszawie, po jednym podoficerowie i żołnierze konno W. Księciu, a po zameldowaniu i pojedynczej czasem produkcji, odjeżdżają do koszar.

Następuje drugi sygnał. Pluton defiluje, lub marszeruje podług dalszych sygnałów.

Nakoniec staje naprzeciw uszykowanego plutonu, schodzącego z warty, luzuje go i na komendę zsiada z koni, które do stajni zaprowadza.

Jeżeli obóz jest zebrany pod Marymontem, natenczas W. Książę wprost z palacu Brühlowskiego pędzi z Kurutą do niego.

Wszystkich oczy zwrócone w stronę drogi, idącej do miasta, a rozstawieni w pewnych odstępach

żołnierze (machajłami zwani) dają sobie znaki, jak telegrafy, o zbliżaniu się naczelnego wodza.

Jak tylko się powóz zdaleka pokaże, obiegają ostatecznie szeregi generałowie, pułkownicy, komendanci batalionowi i adjutanci, poprawiając, nakręcając, klnąc i szturchając żołnierzy.

Powóz się zatrzymuje przed pułkiem, mającym dawać wartę, i przed jego frontem odbywa się parada tym samym porządkiem, jak na Saskim placu. Wszystkich oczy zwrócone na W. Księcia, wszyscy radziby wyczytać z tej srożej twarzy, w jakim jest humorze, a tem samem, czego się mogą spodziewać.

Cichość największa panuje.

Żołnierze stoją z bronią prezentowaną.

W. Książę siada na konia, objeżdża pułk, dając wartę, czasami brygadę i dywizję, przygotowane rozkazem do defilu.

Każdy pułk pozdrawia i każdy mu odpowiada, jakem to wyżej opisał.

Broń ciągle prezentowana. W. Książę podaje komendę dowódcy pułku, który ma iść na czele defilu, krokiem zwyczajnym, czyli paradnym, podwojnym lub podwojonym.

Defil się kończy, a parada zaczyna.

Jeżeli zaś coś mu się nie podoba, to nic nie mówiąc, zsiada z konia, wskakuje do powozu i odjeżdża do miasta.

Zostaje na jego miejscu Kuruta, który, nie mając rozkazu do przestania, przeciąga manewry pory, póki nie nadleci adjutant z rozkazem zakończenia.

Tymczasem oddziały, przeznaczone na warty do miasta i obozu, idą bez parady na miejsce swego przeznaczenia.

Kuruta delikatnym swoim głosikiem wydaje jakieś komendy, wyglądając przybycia adjutanta. Zdarzyło się jednak kilka razy, że W. Książę, nie rozpuścił wojska aż koło godziny 10 w nocy.

Taka przygoda trafiła się pewnego razu pierw

szej dywizji piechoty, która w największy grad i ulewę, sprowadzoną rozerwaniem się chmury, w wodzie po kostki stać musiała pod bronią do późnej nocy.

Paradą w obozie komenderował pułkownik, dający wartość.

Takie były zwyczaje W. Księcia przed obiadem, po którym rzadko się już wojskiem trudnił; siedział w domu, a wieczór, jeśli nie był w teatrze, przepędzał u siebie w małym kółku i towarzystwie księżnej Łowickiej, dla której zawsze był bardzo delikatnym i grzecznym.

Już żandarmi na koniach stali naokoło placu, zamykając dochodzące do niego ulice; już oddział po oddziale wchodzi i staje na miejscu, wsunięty jak szuflada z taką precyzją, że się ani kroku w lewo lub w prawo nie posuwa; już zjeżdżają się generałowie, sztaby i adjutanci, już wszystko gotowe do rozpoczęcia parady — gdy nagle z pałacu Brühlowskiego, na czele ogromnego sztabu wychodzi W. Książę. Pułkownik Axamitowski komenderował paradą i stał na środku placu. W chwili zbliżania się W. Księcia do placu zakomenderował major placu grzmiącym głosem: *Smirna!* Po tej komendzie wszystkie żyjące istoty, które stały pod bronią, zamieniły się w nieruchome posągi.

Tego dnia gwardye rosyjskie dawały główną wartość; oprócz nich były oddziały piechoty liniowej polskiej, część szkoły podchorążych i pluton ułanów gwardyi rosyjskiej; dlatego komenda szła po rosyjsku.

Wielki Książę wszedł w środek czworoboku; prezentowano broń, bębny wszystkie generał-marsz bily.

— *Zdrastwujtie rebiata!* — zawołał chrapliwym, ale donośnym głosem W. Książę.

— *Zdrawia żelajem!* — huknęli, jak jeden, wszy-

scy żołnierze; taki był zwyczaj, że jakim językiem W. Książę się odezwie, takim mu odpowiadają czy to Polacy, czy Rosyanie.

Na nową komendę pułkownika wszyscy dowódcy wart, każdy od swego oddziału oficerowie i podoficerowie razem, ruszyli do środka placu po rozkazy. Po odebranych rozkazach w tym samym porządku wracali do oddziałów. Zaczął się defil, muzyka grała, wszystkie oddziały obeszły plac krokiem zwyczajnym, potem podwójnym, W. Książę był w doskonałym humorze, nogą i ręką takt dawał, i ciągle „*charaszo*, dobrze, doskonale“ powtarzał. Wszystkich też twarze jaśniały radością.

Skończyła się parada, wojsko pomaszerowało. W. Książę w małym mundurze gwardyi kirasyerów gwardyi z akselbantami, jako pierwszy adjutant cesarza, obrócił się do otaczającej go licznej, świetnej świty; wszyscy zbliżyli się salutując.

— Najjaśniejszy cesarz i król, pan nasz miłosierny, robi nam zaszczyt, że przyjedzie do Warszawy — to mówiąc, trzymał rękę przy kapeluszu, wszyscy to samo robili, cała publiczność odkryła głowy. — Pokażę JCKMości wojsko, które mam pod moim dowództwem. Panowie, starajcie się, żeby JCKMość i ja byli z was zadowoleni.

Wszyscy znów w milczeniu salutowali.

— Z J. C. K. Mością przybędą książęta i generałowie całej prawie Europy; niech zobaczą i powiedzą światu, że takiego wojska jeszcze nigdzie nie widzieli.

Znów salutowanie.

Po tej apostrofie, wymówionej z promieniejącą twarzą, W. Książę wziął generała Wincentego Krasieńskiego pod bok, rękę przyłożył do kapelusza na znak pożegnania, pośpieszył z nim do koczka, siedli, a kasztanki wiatrem poleciały.

Uszczęśliwiony parada, podziwiając doskonałość

w wykonaniu każdej komendy, poszedłem ze Stanisławem do tej samej traktierni na obiad; tam zastałem dwóch podoficerów artylerii: Bogusława z gwardyi konnej, i Walerego z baterii rakietników.

Ten ostatni, służąc przed dwoma laty w baterii pozycyjnej, miał na rewii smutny wypadek. Komenderowany z plutonem w miejsce słabego oficera, strzelał; ale ogień szedł pomału. Przybiega, zobaczwszy to, jakiś adjutant z rozkazem, żeby prędzej strzelali.

— Nie można—tłómaczył się Walery—bo jedno działa źle, ogień się zakrada w skos, może się ładunek zapalić.

— Dyabli was nie wezmą!—krzyknął adjutant—strzelaj, taki jest rozkaz, 15 razy na minutę.

Za trzecim wystrzałem, gdy nie było czasu dobrze wyczyścić działa wiszorem, proch się zajął i żołnierzowi, przybijającemu nabój, urwało obydwie ręce.

Zdegradowano Walerego, i na cały rok skazany był na nabijanie tegoż samego działa. Później awansował do kawalerii i zginął pod Mińskiem. Bogusław, dowiedziawszy się, że idę do wojska, zachęcał do artylerii, mówiąc, że Wielki Książę najmniej wtrąca się do tej broni i że najwięcej mają wolności.

Po obiedzie pojechaliśmy dorożką do obozu; wojska jeszcze nie było, tylko kwatermistrze wszystkich pułków z rzemieślnikami kończyli baraki, gradowali ulice, darnowali klomby, posadzane roślinami, kwiatami i drzewkami.

Baraki niektórych pułkowników wyglądały jak najgustowniejsze wile otoczone ogródkami. Ruch był wielki i niezliczone furgony zwoziły rekwizyty wojaskowe i meble dowódców. Namiotów jeszcze nie było; dopiero je wojsko samo stawiało.

Cała rzecz była w tem, żeby namioty wszyst-

kie razem tak jak z ziemi wyrosły. Pierwsze też onych ustawienie dwóch godzin nigdy nie trwało.

Wróciliśmy do miasta, obszedłem niektóre gmachy, a gdy już 7-ma godzina się zbliżała, zaprowadził mnie Stanisław do teatru, mówiąc:

— To już może ostatni raz będziesz widział, zanim oficerem zostaniesz; żaden żołnierz, ani podoficer w teatrze bywać nie może pod żadnym pozorem. Zdarzyło się przeszłego roku, że dwóch podchorążych ciekawych zakradło się na paradyz i ukryci między kucharkami używali widowiska. Nie uszło to bystrego oka Jurgaszki; już dał rozkaz żandarom, żeby ich aresztować; ale ostrzeżeni zawczasu jeszcze skreślił się, co tu robić? Wtem jeden z nich donośnym głosem krzyknął: „Pali się!” Przestraszeni ogarnęli wszystkich; w tym zamęcie udało się podchorążym wymknąć ku wielkiemu umartwieniu Jurgaszki, któremu tę historię W. Książę nieraz, śmiejąc się przypominał.

Teatr był pełny. Fotele zajęte po największej części przez oficerów gwardyi rosyjskiej i elegantów cywilnych. W łóżach generałowie i damy wielkiego świata, jaśniejące urodą, wdziękami i toaletą. Na parterze oficerowie linijni i młodzież. Grano „Horacyuszów;” młoda Żuczkowska pierwszy raz w roli Kamili występowała i grą swoją, która później do tak wysokiego doszła stopnia, że mogła stanąć obok pierwszych artystek Europy, wszystkich zachwyciła. Wielki Książę w łożu blizkiej sceny, po lewej stronie, do końca bawił i ciągle dawał oklaski.

Po teatrze poszliśmy do przyległego obok restauratora Sullera, na kapłona, większa część widzów także się tam udała, bo Suller słynął z kapłonów, i należało do dobrego tonu, po reprezentacji go odwiedzić.

Zjadłszy, odprowadził mnie jeszcze Stanisław do hotelu, gdzie podziękowałem za poświęcony mi dzień,

w którym widziałem tyle interesujących przedmiotów i gdzie zastaliśmy mego protektora już przy herbacie.

— Jutro — powiedział mi — jadę do Miłosny na przeciw pułku, żeby razem z nim pomaszerować do obozu; dla ciebie ta kwatera będzie za droga, trzeba, żebyś się o tańszą postarał na te kilka dni.

Stanisław ofiarował mi swoją; przyjąłem z wdzięcznością.

— Jeszcze nie wiem nic pewnego — powiedział major — kiedy nastąpi twoje przedstawienie; w każdym razie przychodź codziennie po obiedzie do obozu, do mojego baraku, żeby być gotowym na każde zwołanie.

Minęło kilka dni, w których starałem się ile możliwości poznać Warszawę; odwiedzałem codziennie majora, bawiąc w obozie do capstrzyku.

Niespokojny w tem długim oczekiwaniu, idę dnia jednego zamyślony do obozu, wchodzę do majora i zastaję go piszącego; chciałem się cofnąć, żeby nie przeszkadzać, ale się obejrzał i spostrzegł mnie.

— Dobrze, żeś przyszedł; wyrobiłem, że jutro o godzinie 10-tej będziesz przedstawiony W. księciu. Ubierz się czysto; frak zapnij pod szyję, włosy podstrzyż jak najkrócej, weź dorożkę, żeby cię zawiozła do pałacu Brühlowskiego; każ stanąć opodal, idź piechotą śmiało w bramę, zapytaj weterana koło niej stojącego o pułkownika Trembickiego; właśnie kończę do niego list, który mu wręczysz, a on ci dalsze da rozkazy.

Zapieczętował, podpisał list i oddał mi go z zaleceniem, żeby nie pomylić.

Chodź teraz za mną, przedstawię cię naszemu pułkownikowi.

O paręset kroków stał barak pułkownika, chodził w nim pułkownik, dyktując coś swemu adju-

tantowi. Zatrzymał się, przywitał majora, który mu mnie zaprezentował.

— A, ten młody Galicyanin, o którym mi mówiłeś, majorze.

— Ten sam, panie pułkowniku.

— Pamiętaj młodzieńcze, żebyś majorowi wstępu nie robił.

Po prezentacji w pałacu Brühlowskim przyjdiesz zameldować się panu adjutantowi. Bądź zdrow.

Na tem skończyło się przedstawienie.

Ukloniłem się nisko i poszedłem wolnym krokiem do baraku majora, żeby mu podziękować. Nadszedł też wkrótce; chciałem ucałować jego rękę, ale nie pozwolił, uściśkał mnie i rzekł:

— Zrobiłem, com mógł i com rodzicom twoim obiecał; teraz już od ciebie zawisło iść naprzód. Wracaj do Warszawy i pamiętaj, co masz czynić.

Biegiem prawie stanąłem w stancyi Stanisława, rzuciłem mu się na szyję i opowiedziałem, że od jutra zaczynam tak pożądaną karierę wojskową. Na zajutrz wstałem przededniem; pobiegłem do fryzjera, żeby się ostrzyż i brodę ogolić, na której prawie jeszcze nic nie było. Wracając, wstąpiłem do kościoła, gdzie się gorąco pomodlił, prosząc Boga, żeby mi się dobrze udało audyencya u Wielkiego Księcia.

O godzinie 8-ej, ubrawszy się, uściśkałem Stanisława i pobiegłem na plac, gdzie stały dorożki, wzbawie, żeby się nie porozjeżdżały. Każdy to pojmie, kto miał kiedykolwiek ważny interes, jaką brak fiakra w danym czasie może mu zrobić różnicę. Masa dorożek stała. Zobaczywszy, że się do nich zbliżam rano już uroczyście ubrany, kilkadziesiąt odezwalo się głosów:

— Ja z panem pojedę.

Wybór mój padł na parę dobrych koni i ogromnie wąsatego furmana.

— Gdzie pojedziemy?

— Do pałacu Brühlowskiego, biorę cię na gozdzinę.

Wmiarę zbliżania się do pałacu Brühlowskiego, serce coraz więcej mi biło; fiaker stanął o kilkadziesiąt kroków przed nim; wskazał mi, którędy mam iść, zeskoczył z kozła, otworzył drzwiczki, pokiwał głową litościwie, a ja poszedłem.

Przyszedszy do głównego wchodu, grzecznie zapytałem stojącego w bramie siwego, pokiereszowanego weterana, ale jeszcze zwawego starca, o pułkownika Trembickiego,

— Co pan chcesz od niego?

— Mam list od pana majora K. — odpowiedziałem.

— Jeszcze go niema, ale nadejdzie w tej chwili; stój pan tu, a ja mu go wskażę.

Weteran, jak każdy wogóle stary żołnierz, był gadułą; zapytał mnie, co mam za interes. Nie widziałem przyczyny zatajenia przed nim, że chcę się zaciągnąć do wojska.

Spojrzał na mnie ciekawie, zażył tabaczki, chciał wąsa pokręcić, ale przekonawszy się, że go niema, bo weteranom nie wolno było nosić wąsów, splunął i rzekł:

— Że też to się człowiek z dawnego nalogu wyleczyć nie może.

Zaczął mi opowiadać, jak służył, był podoficerem, brygadyerem szwoleżerów gwardyi Napoleona i wyrzekłszy to nazwisko niby z niechcenia, przyłożył rękę do kaszketu. Już zaczął wpadać na kampanię hiszpańską, gdy weszło w bramę kilkunastu żołnierzy w majtkach i płaszczach, a za nimi drugie tyle innych, z różnych pułków kawalerii, niosących coś ponakrywanego i obwijanego. Zafrapowała mnie ta procesya.

— Co to jest? — zapytałem weterana.

— To nic; to posyłki kawalerii, co się mają

W. Księciu meldować; tu ich ubierają, żeby czysto wystąpili.

Coraz więcej przybywało z różnych stron rozmaitych wojskowych do pałacu. Weteran już nie miał czasu dalszej ze mną prowadzić gawędy, musiał salutować oficerom i odpowiadać na zadawane sobie pytania. Po upływie pół godziny zajechał do rożką pułkownik Trembicki; weteran wystąpił, salując go parę kroków naprzód, wskazał mnie ręką i rzekł:

— Ma list do JW. pułkownika.

Pułkownik zmierzył mnie oczyma.

— Jak się zowiesz?

— Józef Zieliński — odpowiedziałem, kłaniając się i oddając mu list.

Szybko rozerwał kopertę, przeleciał pismo.

— Mówił mi o tobie wczoraj major K., chodź ze, mną.

Weszliśmy do dużej na dole sali; po prawej stronie stało już kilku takich, jak ja, aspirantów do wojska; między innymi był młody człowiek, dość przystojny, średniego wzrostu, bardzo biały i różowy, z włosami trochę rudawymi, nadzwyczaj czysto i starannie, ale skromnie czarno ubrany; rozmawiał dość poufale z rosyjskimi generałami. Był to Monroe, syn ówczesnego prezydenta Stanów Zjednoczonych Ameryki północnej. Oprócz niego było, o ile pamiętam — dwóch Komarów z Ukrainy i Ruszczyk z Litwy, z bardzo wesołą i sympatyczną fizygnomią, znany później w całej Warszawie z dowcipnych figlów, jakie płał w szkole podchorążych kawalerii.

Wkrótce dał się słyszeć w odległości turkot pojazdu W. Księcia. W okamgnieniu staneli w sali wszyscy na swoich miejscach. Nas ustawił jakiś adjutant w szereg, na prawo Monroe, obok niego Komarowie, dalej Ruszczyk, a ja — na lewem skrzydle.

Staliśmy tak w milczeniu przeszło pół godziny; po upływie tego czasu otworzyły się podwoje, wszedł

W. Księżę, a za nim generałowie, pułkownicy, sztabs oficerowie, adjutanci bez liku. W. Księżę był w doskonałym humorze, obszedł salę, mówił z wieloma, na koniec zbliżył się do nas.

Generał-adjutant Fentsch przedstawił mu nasamprzód Amerykanina, który wręczył W. Księciu list od ojca, proszącego, żeby raczył umieścić syna w jednym z pułków polskich ułanów, ażeby pod dowództwem tak dzielnego wodza uczył się sztuki wojennej. W. Księżę długo z nim rozmawiał po francusku, podobaly mu się bardzo trafne odpowiedzi zaatlantycznego młodzieńca, przeznaczył go do pułku gwardyi rosyjskiej konnopolców i kazał do siebie dziś przyjść na obiad. Postąpił dalej, Komarowie, choć nie bardzo eleganckie figury, podobali mu się, bo sobie życzyli wstąpić do gwardyi rosyjskiej. Ruszczyc prosił u umieszczenie w 2-m pułku ułanów.

— Z jakiej gubernii jesteś?

— Z Grodzieńskiej, W. c. k. Mość.

— Dobrze, zapisać go do pułku gwardyi huza-rów grodzieńskich, który się teraz formuje.

Ruszczyc spuścił nos na kwintę, ale na taką decyzję nie było apelacyi.

Przystąpiwszy do mnie, pułkownik Trembicki przedstawił mnie, dodając, że chcę wstąpić do 2-go pułku strzelców pieszych.

— Dobry pułk, dobra szkoła dla młodzieży. Zapisać go do 2-go pułku strzelców pieszych.

Potem skłoniwszy się wszystkim, wyszedł na Saski plac, a za nim wszyscy wojskowi. Nam się kazano zatrzymać, wkrótce wręczył adjutant każdemu z nas kartkę z przeznaczeniem do pułku i z rozkazem zameldowania się swemu przyszłemu dowódcy.

Parada warty odbywała się tymczasem zwy-czajnym trybem; a ja pośpieszyłem do czekającego fiakra. Ten, zobaczywszy mnie, z rozpromienioną twarzą rzekł:

— A co tam, panie?

— Wstąpiłem do wojska.

— Pewnie do ułanów?

— Nie, do 2-go pułku strzelców pieszych.

— Jezus Maryja! — zawołał — szkoda!

Zatrzasnął drzwiczki pojazdu, pociągnął biczem biedne szkapy, i ruszył, nie mówiąc już ani słowa. Przyznaję, że mnie te kilka słów dorozkarza trochę zaniepokoiły. Zmiarkowałem, że to stary żołnierz i że musi znać skład wojska; alem sobie znów tłómaczył, że pewnie służąc w jeździe, ma antypatyę do piechoty. Stanęliśmy przed mieszkaniem Stanisława, wysiadając zapłaciłem i dając parę złotych poczesnego woźnicy, zapytałem, czy służył w wojsku?

— A jużci, że byłem dawniej w 16-tym pułku ułanów pułkownika Tarnowskiego, z którym z Wo-łynia przyjechaliśmy w 1809 r. do Galicyi. Byłem masztalerzem u hr. Stadnickiego w domu, ale jak się pułk formował, wołałem wywijać laną, niż nosić liberyę, chociaż to bardzo dobre było panisko. Za nowej organizacyi przydzielono mnie do 4-go pułku ułanów; dobry do pułk, najwięcej starych wiarusów, ale dawne rany dokuczać zaczęły; trudno było, pro-szę pana, dotrzymać, a tu raz naraz musztra to pie-chota, to na koniu i latem i zimą; a już to nam naj-gorzej dojadła ta piesza służba; jakieś tam balanso-wanie, jakieś składane kroki. Tfu! na sto dyabłów ułana uczyć, jak ma chodzić? A! aby dotarł do szka-py i wdrapał się na barana, to już i dosyć. Ułan na koniu, czapka na uchu, lanca na temblaku, a pałasz przy boku, to się aż dyabli śmieją; ale jak przymu-szają po ziemi nogami wywijać — to do psa niepo-dobny.

— I dlatego porzuciłeś wojsko?

— A dlatego, proszę pana, najwięcej. Nama-wiali mnie, żebym się podał do weteranów, ale — tu się naokoło obejrzał — te szelmy, co tam w sztabie wymyślili, żeby weteranom wąsy golić! Boże miło-

sierny! Wolałbym w szabas rabina na rożnie upiec i słoniną smarować, niż dotknąć się brzytwą tych wąsów, przed którymi nie jeden wróg zadrżał.

I zabierał się siadać na kozioł.

— Powiedz mi, bracie — zapytałem — dlaczegoś głową kręcił, jakim ci powiedział, że wstępuję do 2-go pułku strzelców?

— Ot, tak sobie, proszę pana — a zaciąwszy konie obrócił się i rzekł, odjeżdżając: — pan sam zobaczy — i znikł za skrajem ulicy.

Pospieszyłem na górę. Stanisława nie było, już pisał w biurze. Pobiegłem do biura, wywołałem go, żeby opowiedzieć mój poranek. Głodny, bom do tego czasu nie miał nic w ustach, zaprosiłem Stanisława na śniadanie, które po emocjach tego poranku bardzo mi smakowało. Opowiedziałem wszystko, com widział i słyszał, oraz jakie dostałem przeznaczenie i chciałem natychmiast jechać do obozu, aby się pułkownikowi zameldować. Lecz Stanisław, który lepiej odemnie znał zwyczaje starszyny, wyperśwadował mi, żeby ten krok odłożyć do południa, gdyż o tej porze wszyscy oficerowie, oprócz dyżurnych, są pewnie w Warszawie, i miał rację. Wrócił do biura, wymyślił przed naczelnikiem jakiś ważny interes, wziął kapelusz i poszliśmy na Stare Miasto.

— Zróbmy rewizję twojej garderoby, która ci się od chwili, jak mundur dostaniesz, na nic nie przyda; trzeba wyszukać żydka, żeby ją otaksował i dał ci zadatek, bo może, jak raz dostaniesz się do obozu, nie będziesz miał czasu łączyć za tem. Poszliśmy na ulicę Franciszkańską. Stanisław wyszukał znajomego tandeciarza, który poszedł z nami; po szczegółowym obejrzeniu wszystkich moich manatków, które na wszystkie boki obracał i przewracał, po długim harkotaniu i targowaniu się stanęła ugoda.

Za wszystko, com posiadał z odzieży obiecał mi 93 złotych, groszy 15; na zadatek dawał 10 zł. pod kondycją, jeżeli zaręcę, że za parę dni przyjdzie do

swej własności. Zeszliśmy na dół, gospodarza nie było w domu, gdyż, jako drwał, poszedł nad brzeg Wisły odbierać przystawione dla siebie kłody. Gospodyni tłusta, poczciwa mieszcanka, na porękę Stanisława, którego dla jego wesołego humoru lubiła, zaręczyła żydowi za mnie. Ten nas opuścił, kłaniając się i napominając, żebym przez tę parę dni nie podał sukien.

Wyszliśmy znów na miasto dla przejścia się i pogawędzenia przed obiadem. Na zapytanie, dlaczego doróżkarz wykrzyknął Jezus Maryja, jak się dowiedział, że idę do 2-go pułku strzelców pieszych, odpowiedział:

— Może doróżkarz miał rację, bo twój przyszły pułkownik sływie w armii jako bardzo surowy, nawet tyrański dowódca. Wielki Książę bardzo go lubi i ma w nim zaufanie do tego stopnia, że jeżeli który podchorąży w gwardyi co zrobi, to go na poprawę do pułkownika Czyżewskiego posyła. Przytem druga nieprzyjemność. Pułk ten zawsze i ciągle stoi w twierdzy w Zamościu, tam i służba cięższa, i odpowiedzialność większa, niż w każdym innym garnizonie.

Przypomniali mi się w tej chwili słowa W. Księcia, w pałacu Brühlowskim powiedziane: „Dobry to pułk, dobra szkoła.“ Mrowie mnie przeszło po skórze na to opowiadanie, ale już nie było rady. Zapytałem jeszcze, dlaczego mój protektor major nosi mundur z amarantowym kołnierzem, kiedy cały pułk ma tylko żółte wypustki?

— To znów inna historia — rzekł Stanisław. — Major jest niezawodnie jednym z najlepszych sztabsoficerów, instruktorem w armii, ale do każdej innej służby, w której więcej samoistnie działać trzeba, do niczego. Przed rokiem W. Książę, litując się nad jego zdrowiem, nadwreżonem kilkunastu ranami, odkomenderował go na komendanta placu do Kalisza. Jest to posada bardzo ważna, bo miasto, położone

nad granicą pruską, wymaga wielkiej baczności komendanta na przejeżdżających, żeby, jak to się wówczas nazywało, nie wnosili do kraju idei demagogicznych.

Major nie pojął swego stanowiska, wkrótce po objęciu komendy zrobił jakąś okrutną burdę ze studentami. Zaskarżono go o gwałtowność i brutalstwo. Skargi nie tylko z Kaliskiego, ale i od rządu Wielkiego Księstwa Poznańskiego, przysłyły na majora. W. Książę odwołał go z Kalisza, dał na reformę, to jest zredukował go na połowę gaży, przydzielił do 3-go pułku strzelców, ale nie wolno mu nosić pułkowego munduru, tylko tak nazwany w wojsku mundur reformatów. Major zły, odbija się na skórach żołnierzy swego batalionu, ale z pułkownikiem znoszą się doskonale.

Po tych i tym podobnych opowiadaniach Stanisława, który w ogólności bardzo był miłym i dobrym towarzyszem, zjadłszy razem obiad u znanego Serba, pojechałem do obozu.

O godzinie 3-ej po południu siadłem do dorożki; w miarę zbliżania się spotykałem mnóstwo pojazdów, udających się do obozu.

Czas był prześliczny, w otwartych pojazdach i dorożkach wytwornych, klusakami zaprzężonych, jechali generałowie i wyżsi oficerowie polscy i rosyjscy, z niektórymi elegancko wystrojone damy, w innych powozach same damy, otoczone świetnym orszakiem młodych oficerów, galopujących i umizgających się dokoła na dzielnych koniach. Dorożkami śpieszyli niżsi oficerowie, a między nimi jeszcze furgony z meblami i wazonami rzadkich krzewów.

Z mężczyzn cywilnych prawie nikogo nie spotykałem.

Oboz był ustawiony następującym sposobem:

W pierwszej linii dwa pułki gwardyi rosyjskiej, to jest grenadyerzy na prawem, a strzelcy na lewem

skrzydle, za nimi baterye artyleryi gwardyi rosyjskiej pieszej.

W drugiej linii grenadyerzy gwardyi polskiej i batalion saperów na lewem skrzydle.

W trzeciej — wszystkie kompanie wyborowe piechoty liniowej i strzelców pieszych.

W czwartej — pierwsza dywizya piechoty polskiej w dwóch liniach brygadowych.

W piątej — dwie dywizye w tym samym porządku.

W szóstej — wszystkie baterye artyleryi pieszej, brygadami.

Przed każdą dywizyą na czele barak generała dywizyi, po obu stronach pośrodku brygad baraki generała brygad, o kilkadziesiąt kroków ku linii wojska, pośrodku każdego pułku baraki pułkownika, przed batalionami baraki sztabs-oficerów, za frontem baraków kapitanów, niższych oficerów, starszych sierżantów, komora pułkowa, a w pewnej odległości kuchnia i kantyna.

Na czele całego obozu w stosownej odległości, główny odwach, na który zaciągala cała kompania. Przy każdym zaś pułku mniejsze odwachy.

Naokoło obozu o paręset kroków wedety piesze w równych odstępach, plecami obrócone do obozu.

Generałowie, pułkownicy sadzili się na przyozdobienie swych baraków, wszystkich w ogólności biało pomalowanych, zakładając obok nich bardzo gustowne ogródki, które ich kosztem przez cały rok utrzymywane, coraz się piękniejszemi robiły.

Wszystkie ulice i ścieżki były okładane po bokach darniną, w posuchę po kilka razy dziennie polewaną, wysypane czystym piaskiem, który ciągle grabiami i miotłami równany, tak był utrzymywany jakgdyby nikt tamtędy nie chodził.

Namioty żołnierskie, każdy na 6-u ludzi, czyste białe płótna powyciągane postronkami, żeby najmniejszej nie było zmarszczki.

Pośrodku każdego namiotu był dół wykopany w ziemi prawie na dwie stopy, tak, że ziemia wyrzucana naokoło formowała ławki i nie dozwalała wodzie zalewać namiotu w czasach ulewy.

Widok takiego obozu rzeczywiście był czarujący; koło odwachu po obu stronach była broń ustawiona na etażerkach w okrągłe świecące się kolumny.

Codziennie rano wystrzał z armaty dawał sygnał do pobudki. Jak jedna ręka, jak jedne piersi, wszystkie bębny zagrzmiały, wszystkie trąby, czyli tak zwane w piechocie rogi, napelniały powietrze chrapliwymi tonami.

To samo działo się wieczorem w czasie cap-strzyku.

W nocy patrole przechodziły kilka razy pomiędzy liniami obozowymi, zbierając i aresztując włóczących się żołnierzy i kobiety, a rondy obchodziły łańcuch wedet pod dowództwem „gewaltigera” (oboźnego), nanczas majora Uziębły.

W całym obozie cichość, przerywana tylko chrapaniem na różne głosy zmordowanego żołnierza, zaszczekaniem psa (bo trzeba o tem wiedzieć, że w każdym obozie czy to w czasie wojny, czy w pokoju, zawsze się dużo psów trzyma, które po większej części nie mają właścicieli, tylko jak ochotniki występują), lub pęknięciem odkorkowywanej butelki szampna, dźwięk złota i srebra na zielonych stolikach graczy w barakach wyższych oficerów.

Poszedłem prosto do mego protektora, który się mnie ze zwykłą swoją słodyczą na twarzy, wypytywał o przedstawienie u W. Księcia.

Na zapytanie, co mam dalej robić, zawołał ordynansa i kazał mnie zaprowadzić do adjutanta pułku. Pan adjutant, dosyć młody, ale nieprzyjemnego oblicza porucznik, odebrawszy kartkę daną mi w pałacu Brühlowskim, kazał mi czekać koło drzwi, poczem zaczął się powoli myć i ubierać, łajac ciągle

swego fagasa. Trwało to dobre pół godziny, nakoniec zapiał mundurowy surdut, kazał się jeszcze raz miotelką oczyścić, przypasał szpadę, wziął kaszkiet na głowę, przejrzał się po raz ostatni w podanem zwierciadle i rzekł:

— Chodź ze mną.

Poszliśmy do pułkownika.

Kazał mi czekać przy drzwiach na dworze, a sam wszedł z moją kartką do baraku. Z początku coś dosyć cicho mówili, czyli raczej nadto byłem zajęty sobą, żeby podłuchiwać, ale na głośnie zapytanie:

— Czy mam go panu pułkownikowi przedstawić? — odpowiedział pułkownik jeszcze głośnie:

— Już widziałem raz to kadeckie psie ścierwo; każ go, panie adjutancie, zapisać do 2 batalionu, niech się tam major K. bawi z tym galicyjskim elegantem!

Coś tam znów cicho z sobą mówili, ale już nie dosłyszałem, bo mi się obraz i słowa wasatego siakra kręciły po głowie. Wyszedł adjutant, kazał znów iść za sobą do swego baraku i posłał ordynansa po starszego sierżanta kompanii 2, Żelskiego.

Ja stałem u drzwi, gdy ten wkrótce nadszedł. Adjutant rzekł do niego, oddając mu kartkę:

— Z rozkazu pana pułkownika zapisz wasan tego nowego kadeta do 2 kompanii 2 batalionu, wydać i dopasować całe umundurowanie, broń i lederwerki, a jak tylko będą dopasowane laibik i czeczery, niech zaraz staje z tymi kilkunastu nieukami za obozem do nauki.

— Dobrze, panie adjutancie — odrzekł sierżant, przyłożył prawą rękę do kaszkietu, zrobił lewo w tył i rzekł do mnie:

— Chodź, kolego! — i poszliśmy razem do jego baraku.

Posłał po batalionowego krawca, który zaraz się stawil, kazał mu wziąć miarę, którą krawiec brał z wszelkimi formami, należącemi do rzemiosła majstra, który ma honor ubierać wojsko polskie, wojsko

W. Księcia, wojsko najpiękniejsze w Europie. Kazał mi się nasamprzód rozebrać do koszuli, potem ścisnął mnie paskiem, umyślnie na ten cel przyniesionym, że aż mi się dech zaparł; kazał wyjąć pierś, podnieść głowę, wyprostować się, i dopiero mierzył mnie wzrokiem na wszystkie strony, powtarzając po kilka razy jedną miarę, czy się zgadza. Gdy skończył, zapytał sierżant:

— Kiedy będzie gotowa robota?

— Lejbik, czechczery i płaszcz na jutro wieczór, reszta za dwa dni.

— Dobrze, tylko pamiętaj, że ja to dziś jeszcze zamelduję p. adjutantowi, a p. adjutant p. pułkownikowi; pamiętaj, żeby znów tak nie było, jak przed wymarszem z Zamościa!

— Nie bój się p. sierżancie, jeszcze mnie krzyże od tych łańcuszków bolą, nie mam ochoty drugi raz ich próbować—i skłoniwszy się, poszedł.

Sierżant Zelski był to prawdziwy typ dobrego starego żołnierza. Dwa krzyże i trzy szewrony dowodziły: pierwsze waleczności, drugie 20 lat służby, bo ją jeszcze w legionach zaczął. Średniego wzrostu, całkiem prawie łysy, barczysty, dosyć dobrej tuszy, z żywymi ruchami, wesołą twarzą; lubiany był, jak się potem przekonałem, od wszystkich i nawet trochę poważany przez pułkownika, a co więcej, przez mego majora. Służbista, jakiego może w całej armii nie było; nigdy nikomu szkodzić nie lubił, a swą dobroduszną jowialnością serca do siebie garnał.

Zapytał mnie, czy mam gdzie mieszkać w Warszawie, bo w obozie, jako dla cywilnego, jeszcze na dziś miejsca nie ma. Opowiedziałem mu cały mój sposób wstąpienia do wojska, podróż do Warszawy i pobyt w kwaterze Stanisława.

— O, znam tego Stanisława, bywa czasem w obozie u mego kolegi Grabowskiego, z grenadierów gwardyi, wszyscy go dla wesołości bardzo lubi-

my. Ale słuchaj-no, kolego, idź sobie jeszcze raz przenocować pod dachem i posprzedawaj cywilną odzież.

— To już zrobione—odpowiedziałem.

— Jeżeli masz pieniądze, to ci życzę sprawić sobie cienki mundurek na swoją paradę. Nie bez tego, ażebyś w garnizonie nie porobił znajomości i nie bywał w domach przyzwoitych; to jakoś lepiej, niż w grubym suknie, które mieć będziesz do służby i na paradę. Jeżeli chcesz, kolego, to ci sukna nabiorę od kupca, który całemu pułkowi dostarcza, a krawiec batalionowy zrobi, to ci taniej wytnie, niż w Warszawie.

Podziękowałem serdecznie pocziwemu sierżantowi i wybierałem się już napowrót, gdy mi sierżant rzekł:

— Jutro po południu przed czwartą staw się do mnie, wydam ci wszystkie efekty, broń i lederwerki; wieczorem się przebierzesz, tu już zostaniesz, a pojutrze po pobudce na naukę!...

Ścisnęliśmy sobie ręce i poleciałem pieszo do Warszawy.

Pierwszem mojem staraniem było wynaleźć znanego tandeciarza, wziąłem go z sobą, oddałem mu kupione suknie, oprócz tych, w których jeszcze ostatni raz musiałem pójść do obozu, wyliczył mi pieniądze, a pojutrze obiecał przysłać swego żydka po resztę garderoby.

Zasiadłem do stolika, ażeby napisać list do rodziców; napisawszy, poskładałem w jak najmniejszy węzelek kilka koszul, parę ręczników, trochę chustek do nosa i skarpetek, ażeby z sobą zabrać. Odniosłem już zmierzchem list na pocztę, ztamtąd udałem się do kawiarni Marysi Brzezińskiej, koło arsenału, gdzie daliśmy sobie *rendez vous* ze Stanisławem na przypadek, gdybym z obozu wrócił.

Zasiadłem w sali bilardowej; dużo było młodzieży, najwięcej akademików, grających, pijących

i niezmiernie żywo gadających. Nadszedł Stanisław, serdecznie uradowany z mego przybycia. Kazaliśmy sobie dać kawę w osobnym pokoju, dużo i długo rozmawialiśmy z sobą, poczem przeszedłszy się do późnej nocy po ulicach miasta, udaliśmy się na spoczynek.

Spałem jak zabity i długo, tak, jak gdybym był chciał zapas snu wziąć z sobą do obozu. O godzinie 10-ej byłem na mszy u Kapucynów i szczerze się modliłem, ażeby mnie Bóg od jakiego nieprzewidzianego nieszczęścia zachował.

Położyłem jeszcze trochę po pięknej Warszawie, zjadłem ze Stanisławem ostatni obiad po cywilnemu, odprowadziłem go do stancyi, a o 3-ciej posłałem stróża po dorożkę, uścisnęliśmy się prawie ze łzami w oczach, zabrałem moje małe zawiniątko i ruszyłem do obozu.

Zastałem sierżanta piszącego, kazał mi usiąść na ławce, nim skończy jakieś rachunki. Skończywszy, wstał, krzyknął na ordynansa i posłał go po żołnierza Cybulskiego.

— Cybulski będzie odtąd twoim towarzyszem, pomocą i nauczycielem w życiu obozowem; porządkny, stary żołnierz, pokaże ci jak broń czyścić, lederwerki czernić i glansować, tornister opakować, bo to wszystko trzeba samemu doskonale umieć, ażeby wszystkiego potem drugich nauczać i pilnować, żeby podług formy było.

Nadszedł Cybulski, przystojny, o ciemnej twarzy żołnierz, z dwoma szewronami, stanął wyprostowany.

— Oto jest nowy kadet, Józef Z. — rzekł sierżant — będziesz jego towarzyszem; wiesz, co młodego trzeba uczyć?

— Wiem, p. sierżancie.

— Pamiętaj, że z początku za wszystko odpowiesz.

— Będę pamiętał, p. sierżancie.

— Teraz idź i oczekuj nas koło komory.

O kilka kroków od baraku sierżanta stał barak z komorą, koło drzwi sztyldwach.

Weszliśmy; w jednym kącie stała broń, trochę zardzewiała, obok niej na szaragach wisiały nieopiskładane lederwerki, na półce patrontasze, dalej znów wisiały tornistry, a nad nimi stały kaszkiety. W pacce jednej była masa trzewików, w drugiej bielizna poukładana w najmniejszy format, każdy rodzaj osobno, w trzeciej paczce kordony do kaszekietów i halstuki sukienne, w czwartej felcechy wełniane i srebrne, galonki podoficerskie, guziki, haftki, nici i jedwab. W ostatniej dużej pacce parę postaw sukna granatowego, sieraczkowego, trochę żółtego i czarnego. Obok tego kilka koców białych. Na osobnych deskach leżały gotowe mundury kompletne, pozwijane starannie. Na każdym zwoju nazwisko żołnierza. Był to nowy komplet, używany jedynie na wielkie wystąpienie. Sierżant kazał Cybulskiemu wybierać wszystko, co dla mnie potrzebne. Cybulski zaczął od broni, przerzucił kilka sztuk, w każdej próbował zamki, brał na ramię, przykładał się, uderzał ręką dla „szlachu”, wyciągał landsztok, zdejmował i nakładał bagnet po kilka razy, nakoniec przypadł mu jeden karabin do smaku, odstawił go na bok, a sierżant w pugilaresie zanotował numer. Zaczął potem ścigać z kółków pasy skórzane szerokie i wąskie, ze sprzączkami i bez sprzączek, w takiej ilości, żem w głowę zachodził, co z niemi począć; powybił wszystko, i gdy już pozapisywał sierżant w pugilaresie, wyszliśmy z komory. Cybulski zabrał wszystko do namiotu, ja poszedłem z sierżantem, który mi dał książeczkę, wpisawszy w nią moje imię...

W takiej książeczce na pierwszych kartkach wydrukowane były „Artykuły wojenne”, t. j. kodeks wojskowy francuski. Dalej rubryki, gdzie się wciąga wszystko, co żołnierz wybiera, oraz kary i na-

grody, jeśli jakie otrzymuje, np. kary przez sąd wojenny zawyrobowane, bo te, co ustnie wyżsi i niżsi oficerowie udzielali, szły w niepamięć.

Wkrótce przyniósł krawiec obiecaną robotę. Sierżant wszystko wpisał w książkę, kazał krawcowi zabrać i czekać przed namiotem, którego numer mu powiedział.

— Zostaw u mnie tymczasem swoje zawiniatko, koledze Cybulskiemu za pomaganie będziesz płacił na miesiąc 2 złote, a jeżeli chcesz, ażeby cię koledzy twoi w namiocie polubili, to im na okup daj 5 złp. Co się dotyczy jedzenia, dostaniesz go razem z żołnierzami, co z tobą stoja, albo, jeżeli chcesz i masz pieniądze, to się przyłącz do naszego menażu. Jest nas czterech, dodajemy po kilka złotych miesięcznie i jemy trochę lepiej.

— Darujesz, panie sierżancie, że z jego grzeszności korzystać nie mogę, przedsięwziąłem sobie dzielić wszystkie prace i pożywienie moich nowych kolegów, póki moją usilną pracą nie zasłużę sobie na galonki.

— Dobrze robisz, kolego, to ci zjedna wzięcie między żołnierzami, a to niemata rzecz i niełatwa do nabycia. Teraz chodź do namiotu, zobaczymy, jak się krawiec popisał.

Wszedłszy do namiotu, zastałem już trzewiki wyczernione i wyglansowane, zacząłem się ubierać w same skarbowe szczegóły. Bielizna wprawdzie nie bardzo cienka, ale biała, niegryząca, trzewiki trochę ciężkie, ale wygodne, czechczery leżały jak ulane; ścisnęli mnie krawiec z Cybulskim we dwóch tak w pasie, że wszystka krew do głowy bić zaczynała (taka była podówczas moda w wojsku, później z powodu częstego zapadania żołnierzy na bóle oczu sfolgowano ściskanie), zapięto mi halsztuk na szyi ciasno, lajbik dokończył stroju. Sierżant obrócił mnie parę razy naokoło, poklepał po ramieniu krawca i zalecił pospiech z resztą umundurowania.

— Wszystko dobrze, tylko z temi włosami wyjść na krok nie możesz, bo łatwobys pierwszą noc obozową przepędził na odwachu.

Na to Cybulski:

— Już tam czeka Brzozka z nożyczkami.

Brzozka, młody żołnierz, cyrulik i fryzyer całej kompanii, zwinny, zręczny, dowcipny i wielki siglarz, ale przytem taki ostrożny i uważny na wszystko, co go otacza i kto na niego patrzy, że choć przez pustotę niejednemu dokuczy, tak się dowcipnie wykreści i taką pocziwą i niewinną robi minę, że go nigdy żadna kara nie spotyka. Wziął się do mojej głowy, ostrzygł przy samej skórze równiuteńko, dobył z kieszeni małe jak rubel lustro, kazał mi się przejrzeć i zapytał:

— Może pan kadet każe sobie pozapiekać włosy? Zaraz przyniosę żelazko...

Wszyscy żołnierze w śmiech z tego konceptu, którego się pewnie spodziewali, i ja się serdecznie rozśmiałem. Brzozka, udając warszawskiego fryzjera, bardzo zgrabnie się uklonił i podstawił furażerkę:

— Co łaska!

Dałem mu 15 groszy. Zadowolony wyszedł z namiotu.

— Teraz, koledzy, kiedy razem w tym namiocie stać mamy, powiedzcie mi wasze nazwiska, ażebyśmy się lepiej poznali. Ofiaruję 5 złotych, ażeby was poczęstować... — to mówiąc, dobyłem małego talarza z sakiewki, i dałem do rąk Cybulskiemu, który pobiegł do markietanki, przyniósł flaszkę niewielką kwadratową wódki, kilka bułek i sera owczego, nalał blaszany kieliszek i rzekł:

— Niech pan kadet do nas wypije! — nie mogłem odmówić. Kieliszek poszedł koleją, bułki i ser w mgnieniu oka zniknęły, poczem pokazał kołegom resztę pieniędzy:

— To będzie jutro na śniadanie, a teraz wiara do lederwerków pana kadeta, ażeby były jak szkło.

Rozebrali żołnierze pomiędzy siebie pasy i paski, wyciągnęli parę gładkich deszczulek, dalej je nacierać czarnym woskiem, gładzić drewnkami, kostkami i korkami, w przeciągu mniej niż godziny świeciły rzemienie jak lakierowane. Poprzypinali jedne do patronasza, drugie do tornistra, bagnet z pochwą włożyli w trzecie, postawili mnie na środku namiotu i zaczęli do mojej figury przypasowywać.

Ta operacja trwała dosyć długo, w końcu włożono na mnie tornister, na tornister przyszedł płaszcz równiutętko skręcony jak kiszka, oba końce ściśnięte rzemykiem, płaszcz przechodził ponad lewe ramię, z tyłu na tornistrze leżał, z przodu zaś umocowany został paskiem, łączącym obydwie naramienniki. Jak ten pasek dociągnęli, zdawało mi się, że się deska piersiowa załamie, skrzywiłem się okropnie.

— Nie uważaj pan, panie kadecie, to tylko zrazu tak się zdaje—powiedział Cybulski—potem człowiek tego nie czuje!

Włożono mi na głowę kaszkiet z kordonami, ciężki, twardy, podpięto łuskami, gniótł on niemilo siernie głowę, tak, że w pierwszych dniach skóra z czoła złaziła, ale jak nowa narosła, a kaszkiet potem przemoczony nabrał formę głowy, już mi nie zawadzał. Karabin także wyczyścili żołnierze, wypolerowawszy lufę igłami, pozatykanemi na ten cel w twarde płótno. Cybulski podał mi broń; ustawił mnie z bronią do nogi i poszedł zameldować Żelkskiemu, że już jestem gotów. Nadszedł sierżant, obchodził mnie naokoło, nie znalazł nic do zarzucenia, pochwalił Cybulskiego, który wesa podkreślił i rzekł do mnie:

— Jutro o 4-tej zrana wystąpisz z bronią, bagnetem i patronaszem na naukę z rekrutami, staraj się prędko pojmować, ażeby stanąć w szeregu. Teraz się rozbierz sam, i ucz się sam ile możliwości ubierać.

Pozdejmowałem z siebie lederwerki, wziąłem

furażerkę na głowę i poszedłem z Cybulskim zobaczyć, w którym miejscu mamy się zbierać na naukę. Sierżant wychodząc, dał mi pięciodniowy żołd, to jest 2 zł. 15 gr. Z tego kupowałem zaraz wosku czarnego, igieł, nici, szczoteczkę do butów i t. p. małe rekwiizyty, potrzebne żołnierzowi.

Już zmrok zapadał; stojąc przed namiotem, wypytywałem Cybulskiego o znaczenie wszystkich baraków i chodników, zgola o wszystko, co mi pod oczy podpadło. Objasniał mi szczerze i bez frycówki, jak to inni czasem z kadetami sobie pozwalają; na koniec ściemniło się zupełnie, dał się słyszeć wystrzał armatni, a prawie razem z nim odezwały się wszystkie rogi i bębny przed każdym pułkiem. Poszliśmy do namiotu, gdzie przekąsiwszy kawałek chleba, tak zwanego *brykacza* z serem, jako już prawdziwy żołnierz, nakrywszy się kocem, położyłem się spać i spałem jak zabity.

Bodaj to młodość!... Teraz w wygodnym łóżku nigdy mi taki sen nie przychodził!

Ranny wystrzał z armaty i pobudka zbudziły mnie, żołnierze już powstawali i myli się za namiotem, uczyniłem to samo, ubrałem się z pomocą kolegów, podpiąłem kaszkiet, wziąłem broń i poszedłem na plac zbioru. Stałem tam jeden z pierwszych. Wkrótce zebrali się rekruci, których gefreiter ustawił podług wzrostu w jeden szereg. Nadszedł podchorąży instruktor, któremu się zameldowałem, postawił mnie na prawem skrzydle, bo byłem najwyższy z tego oddziału, odrachował i zakomenderował:

— Po jednym od prawego naprzód, marsz!...— i pomaszzerowaliśmy za obóz.

Opisywać jak nudne, jak męczące było nauczanie się wymaganej postawy, podnoszenie jednej lub drugiej nogi do kąta prostego, nauczanie się kroku składanego, zwyczajnego, czyli paradnego, podwójnego i bez kiwania się ciała, jest rzeczą niepodobną. Podchorąży oddał mnie, jako początkującego, gefrej-

terowi, który mnie pojedynczo musztrował. Mając wielką chęć nauczania się wszystkiego jak najprędzej i będąc zrezygnowany z natury w ćwiczeniach ciała, pojmowałem prędko, ku wielkiemu zdziwieniu gefreitera, ale zawsze pot strumieniami spływał po twarzy, a koszula była całkiem mokra. Podchorąży, kazawszy spocząć oddziałowi, kazał mi przed sobą powtórzyć wszystko, czego się nauczyłem; kazał mi wypocząć i stanąć na boku, ażeby się przypatrywać rekrutom. Niektórzy dobrze pojmowali, ale było paru, z którymi sobie rady dać nie mogłem, chociaż i za uszy nakręcałem, i szturchałem kulakami, jednego nawet, któremu przypisywał złą wolę, podał do raportu i wyliczono mu 30 pałek. To lekarstwo skutkowało, bo nazajutrz z większą łatwością uparty Mazur nogę podnosił.

Trzy godziny trwała nauka, podchorąży był ze mnie bardzo kontent. Był to młody, przystojny, trochę może za mało cierpliwy chłopak; żyliśmy z sobą wkrótce bardzo dobrze; w dwa lata później został oficerem, a w r. 1831 zginął na Litwie.

Nim opuściliśmy obóz, nauczyłem się kompletnie szkoły żołnierza, tak, że na ostatnim defilu przed cesarzem Aleksandrem już stałem w szeregu.

Mój major, którego po kilka razy na dzień widywałem i salutowałem, udawał, że mnie nie zna, nigdy do mnie słowa nie przemówił. W parę dni po mojem wstąpieniu do pułku dano znać w obozie 101 wystrzałami z dział, że przybył do Warszawy cesarz.

Od tej chwili ruch nieustanny w obozie, męczono ciągle żołnierzy próbami defilów i różnych manewrów. Generałowie się uwijali od pułku do pułku, krzycząc, łajając, poprawiając co chwila, pomimo przekonania wszystkich, iż wojsko doskonale jest wyrobione.

Co się w mieście działo, nie wiedzieliśmy. Łu-

ny z powodu iluminacji, i okrzyki radosne wieczorami, dochodziły tylko do nas.

Nadszedł rozkaz W. Księcia zawiadamiający, że w następną niedzielę N. Pan będzie w obozie na mszy obozowej.

Było to w piątek. Nowy ruch. Rozdano wszystkim żołnierzom w komis nowe mundury; ubieranie, dopasowywanie, poprawianie trwało przez dwa dni, pod ścisłym dozorem oficerów i lustracją generałów i adjutantów W. Księcia. Każdy coś niedobrego wyjadł, każdy kłął i krzyczał, żołnierz był umęczony. Muszę tu dodać, że od początku obozu schodziła się co drugi dzień cała kawaleria, stojąca w ciasných kwaterach, w okręgu trzymiłowym naokoło Warszawy. Zwykle stawali już po pierwszej godzinie w nocy na placu pod Parysowem. Tam się wszystko obczyszczało do 4-ej, poczem brygadami, dywizjami i nareszcie całym korpusem manewrowali i defilowali. O 2-ej po południu rozchodzili się po kwaterach, mając tylko jeden i to nie cały dzień do bielenia i woskowania lederwerków, wyczyszczenia broni i koni.

Zkąd się brały siły na taką pracę u żołnierzy, rzecz nadzwyczajna, tembardziej, że w ogólności, a osobliwie u ułanów, zawsze panowała wesołość.

Nadeszła niedziela, na obranym placu wyznaczono czworobok. Oficerowie kwatremistrzostwa po rogach, a podoficerowie w odstępach, formowali proste linie tegoż czworoboku. Każda z trzech dywizji piechoty tworzyła ścianę jedną, na czwartej stała artyleria. W środku czworoboku postawiono bardzo ozdobny duży namiot otwarty, a w nim ołtarz. Archimandryta wojskowy czekał ubrany, a dwustu śpiewaków, wybranych z różnych pułków rosyjskich, dopomagało harmonijnym śpiewem dyakom, w długie rzyzy ubranym do celebry.

Nadjechał cesarz, obok niego o pół długości konia z tyłu W. Książę, trzymając prawie ciągle rękę

u kapelusza, za nim sztab liczny i świetny, pomnożony książętami, generałami i oficerami mocarstw ościennych i małych księstw niemieckich.

Nie będąc jeszcze w szeregu, zdaleka tylko się przypatrywałem. Naturalnie prezentowano broń, wszystkie bębny, rogi i muzyka grały.

Cesarz zsiadł z konia, za nim cała świta, poszedł do namiotu, przed którym czekał go archimandryta z krzyżem i święconą wodą, pocałował krzyż i archimandrytę w rękę, umoczył palec w święconej wodzie i trzy razy się przeżegnał, poczem odstąpił i zaczęło się nabożeństwo.

Po ukończeniu nabożeństwa ta sama ceremonia z krzyżem, ręką i wodą. Podano cesarzowi konia. Gdy wsiadł, zapuściły się ściany namiotu, a sam z całą świtą objeżdżał czworobok, przy ciągłych okrzykach wojska.

Po za ścianami wojska stała, na koniach pojedynczo żandarmerya, nie dopuszczając masy ludu, ażeby się w szeregi nie cisnęli. Po odjeździe cesarza wszystkie pułki po kolei wróciły do namiotów.

W środku tygodnia zapowiedziane zostały wielkie manewry. Wojsko miało być podzielone na dwie równe części: jedną miał komenderować W. Książę, drugą generał Roźniecki. Plac boju był pod Parysowem.

Plan ogólny batalii naprzód ułożono w sztabie, ale wykonanie szczegółów pozostawiono instynktowi dowódców.

W dniu oznaczonym po pobudce, każda z nieprzyjacielskich armij udala się na miejsce przeznaczenia, zwiększona odpowiednią ilością kawalerii i artylerii.

Już o wschodzie słońca zaczął się ogień tyrański, po którym nieza długo odezwały się armaty.

Manewrowano, strzelano batalionami i rotowym ogniem jedni do drugich. Szarże kawalerii świetne powtarzały się co chwila, przyczem, gdy jeden z puł-

ków polskich, który strzelał batalionami na gwardyę rosyjską, zobaczywszy, że stoi na piasku, w którym się znajdowały małe kamyczki, powpuszczał one do karabinów i dawszy ognia pokaleczył lekko kilkunaśtu żołnierzy. Także jedna baterja stanawszy na polu zasianym burakami, ponabijała niemi działa, a dawszy ognia, również pokaleczyła Rosyan. Później trochę szarżował 4-ty pułk ułanów na gwardyę konnopolców, i kilkudziesięciu lancami z koni zsadził.

Przed ukończeniem, Roźniecki zauważywszy, że się Wielki Książę z niewielką rezerwą zaawanturował, otoczył go zręcznym manewrem i prosił o oddanie szpady. Coby się dalej z tego było stało, nie wiadomo, ale szczęściem nadjechał na tę scenę cesarz, przy którym ciągle byli generał Winc. Krasin-ski i pułkownik Turno; zaczął się serdecznie śmiać; wyprosił od Roźnieckiego szpadę W. Księcia i wręczył mu ją napowrót. Chwalił wszystko nadzwyczajnie, dziękował bratu za takie piękne wojsko; tym sposobem w taki dobry humor go wprowadził, że nawet nie kazał dochodzić sprawców kamyczkowych i burakowych. Wieczorem cesarz kazał wypłacić każdemu żołnierzowi i podoficerowi, którzy byli we froncie, po rublu srebrem.

Radość była w całym obozie, która się długo w noc przeciągnęła. W kilka dni później artylerja z rakietnikami dostała rozkaz urządzenia olbrzymiego fajerwerku, na którym był cesarz z całą świtą i mnóstwo ekwipażów cywilnych, napelnionych panami i wystrojonemi damami.

Fajerwerk doskonale się udał, cesarz był bardzo kontent i serdecznie dziękował bratu i wszystkim.

Po wysadzeniu w powietrze ostatniego bukietu, z 10,000 rac różnokolorowych złożonego, oświetlił się, jak różdżką czarodziejską, trącony razem, cały obóz zapalonemi beczkami smoły i kagańcami. Jasno

było jak wśród południa, widok obozu był przecudny. Żołnierze w białych płaszczach (wówczas piechota białe płaszcze jeszcze nosiła), snujący się po obozie, wyglądali jak duchy na polu Elizejskiem.

Przez cały ten czas ranki schodziły mi na nauce mustry, którą ku wielkiemu zadowoleniu mego instruktora, łatwo i prędko pojmowałem; nawet major i pułkownik, który nas odwiedził, nie mieli nic do zarzucenia. Pułkownik nawet obiecał mi, że jeżeli wytrzymam próbę ostatniego defilu przed cesarzem, dostanę galonki i felcech srebrny jako podchorąży (nb. felcech srebrny już był dla mnie przeznaczony w rozkazie, który przyniosłem z pałacu Brühlowskiego, jako oznaka dobrego humoru W. Księcia).

Kilka razy w niedzielę albo święto zabawiał W. Książę obóz po południu to sprowadzonemi do niego linoskokami, to puszczaniem balonów, to innemi, już nawet nie pamiętam jakimi widowiskami, co żołnierzy bardzo cieszyło.

Swoim porządkiem szły codzielną parady, mustry, z ogniem i bez ognia, lustracje i tym podobne rzeczy.

Pewnej niedzieli przyszedł do obozu z Warszawy Stanisław; ucieszyliśmy się serdecznie; poczem zaproponował, żebyśmy razem poszli do baraku sierżanta Grabowskiego, o którym już wspominałem.

Zastaliśmy u niego kilku młodych podchorążych. Po przywitaniu i zaznajomieniu z nimi, gawęda szła żywo. Stanisław opowiadał nam o Warszawie, o wesołości, jaka tam panuje z powodu pobytu cesarza, o fetach, iluminacjach, o sejmie, co się odbywa, o łaskach i orderach, któremi cesarz obdarza zagranicznych gości i krajowców, o intrygach miłosnych dam niektórych. Wszyscy z uwagą słuchali humorystycznego opowiadania Stanisława, a dla większej uwagi jeden po drugim zapalali fajki. Zobaczywszy to Grabowski, rzekł z flegmą:

— Ostrożnie z ogniem, bo pod pryczą leży paręset funtów prochu w ładunkach.

Niby podchorążowie na to nie zważali, ale wkrótce jedna po drugiej fajka zgasła. Raptem drzwi się otwierają i wpada jak bomba między nas podchorąży hr. Krajewski. — *Bon jour mes chers amis*. Ledwie się ogał, lecąc prosto z lochu do obozu, w którym ośm dni w lekkiej, jak Adam przed grzechem toalecie, wysiedziałem sam jeden. *Sapristi quel ennui!* — ani słowa do kogo przemówić, bo nawet szyldwach stał za drugimi drzwiami. *Brum* — otrząsnął się jeszcze raz Krajewski. — Nie masz wódki, Kochany gospodarzu? bo nie mogę pozbyć się zimna. — „Mam“ — i wydobył Grabowski sztof kminkówki. Nalał kieliszek i wypił do Kr., a ten wypiwszy raz po raz dwa, oddał go siedzącemu obok podchorążemu; obeszła kolej. Grabowski sztof schował i zapytał: No, opowiedz nam, jakże to było z tym pojedynkiem? — *Ecoutez vous autres*; znacie wszyscy tego długiego Refrowskiego; nudna figura, zawsze mi wzrostem swoim i pięknoscą swej białej twarzy imponował, naśmiewał się bez dowcipu z mego małego wzrostu i czerwonych policzków; pasya mnie brała, bo wiecie *que je ne suis pas endurant*, alem nie chciał mieć awantury w obozie.

— Proszę, co za wstrzemięźliwość — odezwał się jeden z podchorążych z uśmiechem.

— Nie śmieję się, kolego, wiecie dobrze, iż dla mnie pojedynek, to chleb z masłem; wiecie, jak się biję, więc nie z tchórzostwa, ale miałem przecucie, że mi się coś złego z łaski tego Ref. stać musi, i stało się.

Otóż w piątek przed wieczorem wyrobiłem sobie *par extraordinaire* urlop do Warszawy, bez czego się zazwyczaj obchodzę. Pobiegłem do naszej kawiarni, na Wierzbowej ulicy, żeby się trochę rozzerwać. Zastalem tam Ref., kilku podchorążych polskich z innego pułku i kilku rosyjskich z kawalerii

paniczów. Kazałem dać Malwinie (znacie tę małą fertyczną dziewczynę) ponczu. Siadłem spokojnie, i piję sobie. Ref. zwyczajem swoim, chcąc się zapewne popisywać przed Rosyanami, bierze się do mnie, ja ani słowa; tylko kazałem Malwinie, żeby mi drugą szklankę przyniosła. Byłbym pewnie, wypiwszy, wyszedł, żeby nie to, że Rosyanie zaczęli się między sobą, patrząc na mnie, uśmiechać. Pasya mnie ostatnia porwała. Nie wstając z miejsca, jak zbiorę całą moją rezerwę artylerii dowcipowej, jak zacznę rznąć Referowskiego, nie dając mu ani chwili czasu do odstrzelania, jak zacznę go nicować i obracać na wszystkie strony, śmiech powszechny powstał. Rosyanie brali się za boki. Ref. pobladł ze złości, otworzył gębę, żeby mi coś ostrego odpowiedzieć, a ja, korzystając z tej chwili, chlapnąłem mu resztę ponczu w oczy, i porwawszy się z krzesła, stanąłem *en garde* w postawie boxera. Podchorążowie wpadli między nas, bojąc się bójki, jeden z nich rzekł do Ref.:—Taka obraza krwią tylko może być zmyta, albo trzeba być podłym, żeby ją darować. Ref. rad nierad wyzywał mnie.—Sekundanci się znaleźli, zaraz ułożono warunki pojedynku, który się miał odbyć nazajutrz przed świtem za Marymontem na szpady.

Stanęliśmy na umówionym miejscu, sekundanci plac wybrali, jużśmy byli naprzeciw siebie, gdy raptem Ref. zatyka szpadę w ziemię, i obróciwszy się do sekundantów, rzecze:

— W. Książę zakazuje pojedynki jak najsurowiej; szanuję jego rozkazy i bić się nie będę. — To powiedziawszy, odchodzi z najzimniejszą krwią z placu. Mnie się czerwono w oczach zrobiło.

Z początku stałem jak słup, ale ochłonawszy z zadziwienia, lecę za nim ze szpadą w ręce, nie żeby go przebić, ale żeby uciekającego wypłazować. Ref., obejrzawszy się, i widząc, co się święci, w nogi; ja za nim, dopędziłem i dałem parę płażów przez plecy. Takeśmy byli obydwaj zajęci, on uciekaniem,

a ja gonieniem, żeśmy nie postrzegli patrolu gw. rosyjskiej, wracającego naprzeciw nas z miasta, i obydwaj wpadliśmy mu w ręce. Nie było rady, otoczyli nas i zaprowadzili na odwach. Sprawa się wytoczyła przed W. Księciem, który osądził, żeby Referowskiemu za to, że przestrzegał jego rozkazów, obedrzeć galonki i wymazać z kontroli, mnie zaś na ośm dni do lochu, w naszych teraz pustych koszarach w najłżejszym stroju, o chlebie i wodzie zamknąć.

Sacre bleu! dyabło mi się te ośm dni długimi wydały; bo jużci pewnie wie z was każdy z doświadczenia, że w tym lochu dnia nigdy nie ma.

— Mógłbyś już dać pokój tym pojedynkom — odezwał się Grabowski—każdy wie, że w całej piechocie nikt się tak nie bije jak ty, a zastanów się nad tem, że z W. Księciem żarty nie zawsze się udają.

— Dlaczegoż mnie ograniczasz tylko do piechoty? Zobaczycie, że jeszcze kiedyś jakiego kirasyera albo szasera moim tasakiem zdywiduję.

Wszyscy się śmieli serdecznie; poczem porzucili się, każdy w swoją stronę. Ja odprowadziłem Stanisława do ostatniej linii obozowej, a uściśkawszy się z nim serdecznie, wróciłem do namiotu, rozmyślając nad sprawiedliwością W. Księcia.

Już parę razy występowałem w szeregach i do brze mi się udawało. Obóz niezadługo miał być zwiniętym, więc się przygotowywano do wielkiego ostatniego defilu przed cesarzem.

Na ten koniec zeszła się z nami cała kawaleria i wszystkie baterie pieśze i konne na próbę, która się doskonale udała. Za trzy dni miał nastąpić ten dawno oczekiwany defil.

Przyszedł наконец i ten dzień oczekiwany.

Słońce przesłizniecznie zeszło i zapowiadało pogodę. Wszyscy żołnierze, którzy zazwyczaj albo słabych udawali, albo używani byli do służby niefrontowej, meldowali się kapitanom, że są gotowi do defilu, bo

tu chodziło o rubla gratyfikacji, która nigdy nie chybiła. Pakowano zwyczajnie takich w drugie szeregi.

Defil miał się zaczynać o 10, ale zaraz po wschodzie słońca wszystkie oddziały stanęły na swoich miejscach, gdzie się obczyszczaly i starszyzna ostatecznie najskrupulatniej lustrowała.

Plac do defilu wymierzony był tak, żeby się pułki w odstępach plutonowych zmieściły. Od ściany, przed którą stać miał cesarz, stali jak słupy oficerowie kwatermistrzostwa piechoty, koło reszty ścian czworoboku konduktorowie inżynierzy i kwatermistrzostwa, dalej podoficerowie i piesi.

Naprzeciw punktu, w którym cesarz miał stać na koniu, stał wewnątrz czworoboku kapelmistrz całej armii, w bogato srebrnym haftowanym mundurze, za nim jedna po drugiej muzyka defilującego pułku, która do tego punktu szła na czele, a kapelmistrz dla jednostajności przez cały czas defilu obydwoma rękami takt wymachiwał. Podziwiałem siłę tego człowieka.

Nareszcie grzmot bębnow, rogi i muzyka słyszec się dały.

Zbliżał się cesarz z ogromną świtą i razem z nią objechał od strony wewnętrznej cały czworobok, przy ciągłych okrzykach pułków, do których się zbliżał; poczem stanął na przeznaczonym dla siebie miejscu. W. Książę, który na czele kolumny sam defilował na koniu, po salutowaniu cesarzowi zrobił wolte, i stanął tuż obok po prawej stronie, tylko o jedną trzecią część długości konia w tyle.

Zaczął się defil. Na przodzie gw. gren. rosyjska, za nią gw. strzelców, za którą gw. gr. polskich i saperzy.

Po tych następowała piechota liniowa, dywizjami i pułkami po numerach; później cała artyleria piesza; po artylerii nasamprzód kirasyerzy, za nimi ułani gw. rosyjskiej, a na koniec gw. strzelców konnych polska, dalej artyleria konna, gwardya rosyjska

i polska. Tuż za nią dywizya strzelców konnych, a za nią dywizya ułanów; wszystko zamykała artyleria konna.

Pierwszy defil, cała piechota krokiem paradnym, a kawaleria stępa, drugi krokiem podwójnym, a kawaleria klusem.

W miarę jak się oddziały zbliżały, generałowie dywizji i brygady, zrobiwszy wolte, stawali obok cesarza, składając mu raporty. Ta sama ceremonia służyła dla pułkowników, komendantów batalionowych i dywizyonowych, oraz dowódców baterji, którzy wszyscy wracali do swych oddziałów. W. Książę chciał się przed cesarzem pochwalić najlepszym jeźdźcem z całej armii, pułkownikiem Katerlą z pułku gw. strzelców konnych, zwrócił uwagę cesarza na niego, gdy się na czele dywizyonu zbliżał. Katerla, chcąc bardzo uczoną wolte zrobić przed cesarzem, salutując go, spadł z konia. Wprawdzie jeszcze prędzej na niego wskoczył, ale pomimo tego, cesarz śmiał się serdecznie. W. Książę nie mógł mu tego zawodu w oczekiwaniu darować i zaraz po wyjeździe monarchy przeniósł Katerlę do 1 pułku ułanów.

Defil się skończył po trzech godzinach ciągłego marszu, wszyscy się porozchodzili na swoje miejsca; wieczór ogłoszono rozkazem dziennym ukontentowanie cesarza i rozdano wszystkim podoficerom i żołnierzom po rublu srebrem.

Trzy dni jeszcze bawiliśmy w obozie; ale już oprócz służby wewnętrznej, niczem więcej żołnierza nie męczono, tylko się wszystko przygotowywało i pakowało do wymarszu.

Każdy pułk pomaszerował w swoją stronę, my zaś na wieczny dla 2 pułku strzelców pieszych przeznaczony garnizon do Zamościa.

Maszerowaliśmy dwa dni ciągle, a trzeciego był odpoczynek.

Muszę tu dodać dla tych, co w wojsku nie służyli, że marsz z jednego miejsca na drugie nie dla

wszystkich ograniczał się na oznaczonym na papierze punkcie. Rzadkie bowiem są wsie lub miasteczka, w którychby się cały pułk mógł pomieścić; więc reszta musiała się kwaterować we wsiach sąsiednich, o ćwierć, pół do trzech ćwierci mili odległości od sztabu pułku. To jest nużące dla żołnierza, bo nazajutrz daleko raniej wymaszerować jest przymuszony, ażeby na daną godzinę złączyć się z całym pułkiem. Maszerowanie z całym pakunkiem bardzo mnie z początku męczyło; już po drugim marszu podbiłem się, a lederwerki, szczególnie tornistrowe, zostawiały na ciele czerwone bolesne pasy; alem użył całej mojej siły moralnej, ażeby się cierpieniu nie poddawać.

Tak idąc przez dni kilka, ujrzałem na płaszczyźnie Zamość, ten cel naszego dążenia, z jego szanami, murami, bastyonami, oraz kościołami i wysokimi budowlami. Smutno mi się zrobiło na myśl, że w tem mocnem ogrodzeniu 10 miesięcy następnych przepędzić trzeba będzie.

Weszliśmy do środka twierdzy; cały pułk stanął na placu, gdzie po lustracyi i przerachowaniu, podzielono nas na oddziały, z których każdy do przeznaczonych dla siebie koszar udać się musiał. Zagospodarowanie się pierwsze nie wiele zabrało czasu. Do wieczora już wszystko było na miejscu, wszystkie sale pozamiatane, broń ustawiona, a lederwerki i reszta efektów na pułkach poskładane. Ktoby wieczorem był chciał nas odwiedzić, byłby przekonany, że pułk z miejsca się nie ruszał.

Następujący dzień, oprócz tych ludzi, którzy na wartę zaciągnęli i złuzowali żołnierzy rezerwy ułanów, przez czas obozu służbę pełniących, zajęty był czyszczeniem broni i wszystkich efektów. Po tym dniu nastąpiła niedziela. Parada kościelna i zmiana warty z muzyką; a od poniedziałku ćwiczenia wojskowe w maszerowaniu, robieniu bronią i strzelaniu do tarczy, przez czas krótki. Te ćwiczenia nawet w zimie po kazamatach i salach ciągle się odbywały.

Rekruci uczyli się osobno, i w miarę postępów, po należytym i częstem trzepaniu pałkami do szeregów ich wcielano.

Forteca się powiększała i przebudowywała bardzo pięknie i gustownie, a jak mi się wtenczas zdawało, że bardzo mocno i stosownie do obrony. Generał Malet (Maleteki), Francuz, z wojsk Napoleona, mały, dość gruby, zwykle nadzwyczajnie brudny, robotami dyrygował. Pod nimi byli kapitanowie: Engebricht i Liesenbaut, a do pomocy kilkudziesięciu konduktorów inżynierii. Jako robotnicy używani byli aresztanci wojskowi. Smutny to był widok tych ludzi pozakowywanych w ciężkie kajdany; niektórzy do kajdan miewali przykuty łańcuch, do którego była przymocowana 12-stofuntowa kula, którą wtenczas, gdy więzień chodzić był przymuszony, zawieszal na haku u pasa; niektórzy zaś do tacek łańcuchem przykuci bywali. Patrząc na twarze tych nieboraków, ujrzało się niejedną delikatniejszą, albo ze szlachetnemi rysami. Byli to najczęściej podchorążowie, których odznaczała tylko postawa, bo ubiór szary aresztancki, z taką samą furażerką z grubego sukna na głowie, wszystkich jednakowo przyozdabiał, i jednakowo głowy golone były co tydzień.

Aresztanci stali po wielkich sklepionych kazamatach, sypiali na pryczach bez żadnego pośłania, mając tylko rodzaj pulpitów z deszczek heblowanych, zamiast poduszek pod głowy.

Kazamaty w zimie nie były ogrzewane, bo do syć głęboko w ziemi utrzymywało się ciepło znośne; okna w bocznych ścianach tak były urządzone, że, pomimo głębokości, widno było trochę w tych olbrzymich półcylindrach, wentylatory także stosownie były umieszczone dla czyszczenia powietrza, gdyż te kazamaty były murowane z półtoralokciowemi sklepieniami, ażeby w czasie oblężenia wojsko w nich

stać mogło, gdyż bomby owoczesne takich sklepień nie przebijają.

Przez cały czas aż do następnego zebrania się naszego w obozie pod Warszawą prowadziłem życie bardzo jednostajne. Ciągłe musztry, częste koleje na warty tak czas zabierały, że prawie żadnych cywilnych nie zrobiłem znajomości. Należąc do 2 ej kompanii 2-go batalionu z poczciwym tylko Żelskim i kilku kolegami jadałem w menażu; między tymi był Adolf, o którym mi zapewne później więcej mówić wypadnie.

W tym roku jeden tylko wypadek wszystkich nas bardzo zainteresował i obudził ogólne współczucie. Przywieziono z Warszawy zakutego bardzo ładnego chłopca w późnej już jesieni, skazanego na 20 lat do robót z 12-stofuntową kulą. Widok tego młodego nieszczęśliwego człowieka serce rozdzierał, patrząc na tę delikatną szlachetną postawę, na szlachetne rysy jego twarzy i w te ogromne, błękitne, pełne wyrazu oczy, w których się spokojność, duma i rezygnacja malowały. Był to Konstanty Malczewski, rodzony brat Antoniego, autora „Maryi,” uczeń liceum krzemienieckiego. Wstąpił przed dwoma laty do korpusu inżynierów jako konduktor. Dostawszy urlop na Wołyn dla załatwienia interesów rodzinnych, bawiąc tam, naturalnie, nie obcinał podług formy włosów, które mu się z urodzenia kręcąc, ślicznie układały, zapuścił delikatne blond wąsiki, i tak, po cywilnemu elegancko ubrany, wrócił do Warszawy przed skończeniem urlopu, w chęci zabawienia się w stolicy nim się do służby zamelduje. Pierwsza już zbrodnia. Byłoby mu się to niezawodnie udało, bo nic nie był podobny do siebie z ostrzyżonymi włosami, w mundurze i sukiennej krawacie. Zachciało mu się pójść do teatru. To druga wielka zbrodnia dla podoficera. Wziął sobie bilet do hotelu i zasiadł między oficerami gwardyi konnej rosyjskiej. Między aktami, gdy się zajął lornetowaniem dam po łóżach, nadeptał go na nogę

nielitościwie, przeciskający się oficer kirasyerów, który zamiast przeproszenia, grubiaństwo mu jakieś powiedział. Żywy, jak piorun, niecierpliwy z natury, palnął w twarz oficera tak, że ten zachwiał się na nogach, a kapelusz stosowany z ogromną kitą na trzeci szereg fotelów poleciał. Zrobił się hałas, przytrzymano go, broniącego się boksami drugim oficerem, póki nie nadeszła warta żandarmów i nie wyprowadziła, czyli raczej nie wyniosła go z teatru. To trzecia największa zbrodnia. Zaprowadzony na główny odwach pod Białego Orła, gdy poznano kim jest, zameldowano Wielkiemu Księciu, który kazał złożyć sąd wojenny. Sąd się prędko skończył, w jednej sesji został oskarżony, przekonany o potrójną zbrodni i na śmierć skazany. Wyrok poszedł do potwierdzenia do Wielkiego Księcia.

W. Książę kary śmierci nie lubił, dlatego też zamienił karę śmierci na więzienie w twierdzy, jakem to wyżej mówił.

Wszystkich nas zadziwiła wytrwałość tego na pozór delikatnego młodzieńca w ciężkiej pracy około murów twierdzy; wytrzymał zdrowo zimę i nadchodzące lato.

Gdyśmy wymaszerowali do obozu, a rezerwa ułanów zajęła nasze miejsce, uciekł pewnej nocy w największą burzę. Teraz już można śmiało powiedzieć, że mu do tej ucieczki pomogli poczciwi oficerowie ułanów i oddali damom, które, przebrawszy go po kobiecemu, wywiozły za granicę. Bojąc się jednak Europy, pojechał do Ameryki. Tam się dostał do Boliwara, przy którym był adjutantem. Przez kilka lat pisywał z tamtąd do krewnych i przyjaciół; później słuch o nim zaginął i nie wiem, co się z nim stało.

Komendantowi Zamościa, pułkownikowi Siemianowskiemu, który z tego powodu był w wielkim strachu, jakoś szczęśliwie się upiekło, cała rzecz skoń-

czyła się na kilkodniowym domowym areszcie i admonicyi.

Kolega mój o parę lat odemnie młodszy, Adolf, miał ojca byłego majora w. p., ozdobionego trzema krzyżami, to jest polskim kawalerskim, legii honorowej i neapolitańskim. Służył w wojsku od legionów, po większej części za granicami kraju. Tam się ożenił z Francuzką, bardzo miłą, pocziwą kobietą, z której miał syna Adolfa i córkę Julię, o parę lat od niego młodszą. Nie chcąc dla ran poniesionych służyć w nowej organizacji, wziął się do gospodarstwa na znacznej dzierżawie, wypuszczonej mu z ordynacyi Zamojskich. Syna oddał bardzo młodo do naszego pułku, żeby być blisko niego i często patrzeć na jego postępowanie. Z tego powodu żył w stosunkach przyjaźni z pułkownikiem, sztabsoficera, szczególnie zaś z moim kapitanem P., który również, jak Żelski, pod nim w Hiszpanii służył. Dzierżawa majora była blisko Radechnicy, klasztoru Bernardynów, sławnego św. Antoniego cudownego, w pięknej bardzo okolicy na górze, zarosłej odwiecznymi dębami, ze źródłem pod figurą św. Antoniego na dole, którego woda, jak utrzymywano w okolicy, wiele chorób leczyła. Na dzień 13 czerwca wyprosił major u pułkownika urlopy dla Adolfa i dla mnie na 48 godzin. Pojechalismy forsżpanem bardzo rano, żeby się z rodziną majora zjechać na odpustowym nabożeństwie w klasztorze. Ludzi było niesłychanie wiele, kościół przepełniony, a na wzgórzu między dębami snuły się niezliczone gromady, po większej części kobiet, między którymi sitarki z Biłgoraja odznaczały się niepospolitą pięknnością i gustownem ubraniem. Trudno było oczu od nich oderwać.

Lecz wszystkie te wrażenia zniknęły raptem w mojej wyobraźni, gdyśmy się przecisnęli przez kościół i gdy zobaczyłem klęczącą koło wielkiego ołtarza siostrę Adolfa. Nic podobnego jak żyję nie widziałem. Nie będę szczegółowo rozbiegał jej wdzie-

ków, gdyż wszystko, co mógłbym powiedzieć, nie dałoby prawdziwego wyobrażenia o tej uroczej dziewczynie. Jednem słowem, była to 16-stoletnia, świeża, biała, z czarnymi oczami brunetka, żywa, jak wiewiórka, zgrabna jak sarneczka, dobra jak anioł, a jak szatan sprytna. Nie spuszczałem jej z oczu przez całe nabożeństwo, które sam nie wiem, jak i kiedy się skończyło. Obraz Julii całą moją istotę napelniał. Po nabożeństwie pojechalismy do majora, gdyż to były imieniny jego żony. Zjechało się kilkadziesiąt osób z okolicy, między niemi była młodzież wojskowa. Bawiono się wybornie, tańczyliśmy prawie do białego dnia. Z Julią, ośmieliwszy się już raz, dużo rozmawiałem i tańczyłem, zachwycony jej rozmową i dowcipem. Zabawiłem w domu majora jeszcze na drugi dzień do południa; po obiedzie odwiedził nas sam do Zamościa, gdzie miał jakieś interesy u komendanta o dostawę prowiantu.

Nic nie mówiłem przez całą drogę, bo myśl była przepełniona obrazem anielskiej Julii.

Wróciliśmy do codziennej zwyczajnej pracy. Zacząłem już pełnić służbę podoficera, a mając odpowiedzialność na sobie za kilkunastu żołnierzy, będących w mojej sekcji, nie mogłem już przed wymarszem do Warszawy być u majora; tylko raz jeszcze widziałem Julię przez chwilę, gdy przybyła do Zamościa z matką dla pożegnania się z bratem. Zdawało mi się, że Julia z przyjemnością mnie zobaczyła. Mówiliśmy trochę z sobą o rzeczach obojętnych zapewne, ale każde jej słowo zdawało mi się być źródłem mądrości, uroku i dowcipu. Nakoniec, uściśkawszy ze łzami brata, spojrzawszy na mnie miłe, temi wielkimi, czarnymi, wyrazistemi oczyma, które, jak sztyletem, serce moje przeszły, wróciła z matką do domu.

Od czasu imienin pani majorowej o niczem myśleć, o niczem mówić nie mogłem, tylko o Julii. Nudziłem tem jej brata, który, jak zazwyczaj wszyscy

bracia, nie mógł pojąć, co tak szczególnego widzę w jego siostrze.

Z pocziwym Żelskim nieraz się kłóciłem, gdy wysłuchawszy moich pochwał, o Julii dawanych, które z cierpliwością w głowie układał, mówił nakoniec:

— To zapewne niczego dziewczyna, ale gdzie jej tam do Donny Innes, którą kochałem w Sewilli, lub do Donny Dolorez, z łaski której dostałem sztyletem w plecy. Szczęście, że sztylet po nocy trafił w bandelier od pałasza, a nadchodzący patrol odstraszył mordercę. Gdyby nie to, nie miałbym honoru sierżantować teraz w Zamościu.

Mówiłem nieraz, że ten wypadek bardzo go ochłodził w zapalach miłosnych. Po żniwach wyszliśmy znów do Warszawy i tym samym porządkiem, na tem samem miejscu, co zeszłego roku, pułk nasz stanął.

Nic się nie odmieniło ani w szyku, ani w zwyczajach obozowych, oprócz tego, że ogródki koło baraków dowódców coraz piękniejsze się robiły, że cesarza nie było w Warszawie.

W wojsku znikła wesołość dotychczas panująca, zaprowadzono szpiegostwo, wobec którego stosunki koleżeńskie prawie zupełnie się zerwały, nikt nikomu nie dowierzał, każdy się bał cienia swego. Jeden tylko Krajewski miny nie tracił. Niepoprawny hulaka, przesiadywał często w kozie i lochu dla odmiany. Wypuszczony śmiał się, bawił wszystkich swymi cynicznymi dowcipami i francuszczyzną, ale go tolerowano, bo generał Żymirski, dowódca gwardyi grenadyerów, żył w przyjaźni z jego rodzicami, mieszkającymi w Warszawie, którzy bardzo wesoło, wystawnie i nad majątek zbyt kownie żyli.

Pierwszy raz po wstąpieniu do wojska kazał mi się stawić major K. Ubrawszy się według formy, poszedłem do jego baraku. Zameldowałem się. Spojrzał na mnie badawczem okiem od stóp do głowy, czy

nie znajdzie w ubiorze co do zarzucenia, nakoniec rzekł:

— Z postępowania twojego ja i pułkownik jesteśmy kontenci, dlatego przedstawiłem cię do szkoły podchorążych, w której 2 lata zostaniesz, a za 3, albo 4 najdalej, będziesz mógł być oficerem, jeżeli ci się egzamin powiedzie przed JCKM. W. Księciem naczelnym wodzem. Bądź zdrow.

Nie było rady, podziękowałem, stojąc według formy wyprostowany, a zrobiwszy lewo w tył, wróciłem do namiotu. Natłok myśli różnorodnych pchał mi się do głowy. Z jednej strony radość, że się do tej szkoły w tak krótkim czasie dostaję, która jest pierwszym szczeblem do epoletów, a z drugiej strach zostania w Warszawie, w tym czasie podejrzliwości i szpiegostwa, nakoniec myśl, iż przez dwa lata nie wolno mi będzie oddychać tem samem, co Julia, powietrzem; serce mi rozdzierała. Czem ja byłem dla Julii!... Mało znajomym, bo tylko dwa razy widzianym podchorążym, istotą bez żadnej w świecie pozycji i majątku. Czy ona może myśleć o mnie?... Czy, jeżeli myśli, będę przyjęty, jako konkurent przez rodziców? Czy nakoniec jestem w stanie zabezpieczyć jej przyszły los i swobodę życia? Wszystko to męczyło mi nadzwyczajnie głowę, unikałem towarzystwa, rezonowałem sam z sobą zapewne bardzo mądrze; a koniec rezonowania przedstawiał mi zawsze uroczy obraz Julii, coraz dla mnie droższej. Koledzy moi jedni mi winszowali, drudzy straszili szkołą, szczególnie ci, których z niej wydalono. Uzbrowiwszy się w odwagę, myślałem sobie „jakoś to będzie.“ Rad byłem tylko, że zostanę blisko Stanisława, który moich jeremiad o Julci cierpliwie wysłuchiwał, a później wesołością swoją czarne chmury, które się u mnie nagromadziły, rozpędzać umiał.

Podczas manewrów w obozie nic ciekawego nie zaszło, oprócz tego, że w 2-im putku strzelców konnych, w czasie szarży trzy konie, wpadłszy na ka-

mień, na śmierć się zabili; jeden szaser kark skreślił, jeden rękę złamał, a trzeciemu zupełnie nic się nie stało.

Była druga zabawna historia: kilkunastu młodzieży cywilnej na koniach, a z nimi pułkownik Nosarzewski, który przed rokiem wziął dymisję, pomimo nalegania W. Księcia, żeby został, przypatrywało się manewrom, jak to zwykle bywa, jeżdżąc pomiędzy wojskiem. Wszyscy zwracali się do pułkownika w nadziei, że się w niepotrzebną kolizję nie wpłatają. W. Książę, który od czasu wystąpienia z wojska Nosarzewskiego, nie cierpiał go, dojrzał z daleka tych elegantów. Wysłał natychmiast adjutanta żandarmów z żandarmami, żeby ten oddział znienacka zająć, otoczyć, aresztować i przez całą Warszawę piechotą pod Białego Orła zaprowadzić. Wzięci w jasyr obywatele, wysiedzieli 24 godziny na odwachu, ku wielkiemu ukontentowaniu żołnierzy, traktowanych przez nich noc całą.

Znów się obóz kończył, pułki wybierały się na swoje zwykle leże, ja zaś z kilkunastu innymi podchorążymi z różnych pułków piechoty odkomenderowani zostaliśmy do szkoły, gdzie rano w całym pakunku stanęliśmy.

Oficer, który nas z obozu odprowadził, zameldował pułkownikowi Olendzkiemu, ten nas, uszykowanych w jeden szereg, przelustrował. Dał rozkaz oficerowi tuż stojącemu, żeby nas zaciągnąć do kontroli szkoły i po salach poumieszczać. Szkołą podchorążych naczelnie komenderował pułkownik, a pod nim pięciu oficerów, jako nauczyciele; ci ostatni czasem się zmieniali, jedni wychodzili do pułku, a na ich miejscu najczęściej z gwardyi narodowej lub rosyjskiej przychodzili. Byli to po części bardzo tędzy i godni młodzi ludzie. Pułkownik Olendzki, służbista ogromny, pełen wiadomości wojskowych, na pozór surowy i bardzo wymagający, nie lubił mścić się i pastwić nad częstokroć niesforną młodzieżą; rzadko też kiedy sprawa

wy wewnętrzne wytaczały się przed sąd W. Księcia. Główną nauką w szkole była służba frontowa, do najwyższego stopnia doskonałości doprowadzona, tudzież teoria mechanizmu różnych oddziałów, zaczawszy od szkoły żołnierza, plutonu, aż do pułku brygady, dywizji i korpusu. Podoficer, wchodzący do szkoły, uważany był za rekruta i od samego początku musiał przechodzić szkołę żołnierza, dopóki pułkownik nie zauważył, że we froncie stanąć może.

Zabawnem było, kiedy cesarz Mikołaj pierwszy raz po wstąpieniu na tron był w Warszawie i kazał się uczyć musztry polskiej. Nauka miała miejsce w szkole podchorążych, a odkomenderowany od tego oficer gwardyi grenadyerów, Patrycy Drzewiecki, miał rozkaz postępowania z nim, jak z rekrutem, i dopiero po nauczaniu się wszystkiego, co do podoficera należało, awansując ciągle, doszedł do podporucznika, i na tem się nauka skończyła.

Cała szkoła, złożona z półbatalionu podoficerów polskich i rosyjskich gwardyj, stojących w Warszawie, mieściła w sobie najróżnorodniejsze żywioły, które, rozpoznawszy się podług usposobień fizycznych, umysłowych i finansowych, w małe kółka się łączyły. W tym czasie, kiedy ja do szkoły wstąpiłem, młodzież wyższego wykształcenia, z prawdziwą chęcią nabywania do stanu wojskowego potrzebnych wiadomości, nie była liczną i trzymała się całkiem na stronie, drugą częścią byli synowie zamożniejszych obywateli, którzy w czasie urlopów odwiedzali domy, umizgając się do panien i mężatek. Tych zwaliśmy elegantami; bo w koszarach żadnego z nimi koleżeństwa nie było.

Trzecia, wesoła chłopaki, nie myślące o niczem, tylko o zabawie, gdzie i jakkolwiek ona być mogła, bez wyboru towarzystwa. Ponieważ ani teatr, ani żadne publiczne towarzyskie zabawy nie były pod najsurowszą karą przystępne dla podchorążych, więc ci wyszukiwali sobie rozrywki w najbliższych sferach

towarzystwa. Szyunki, w których urządzano tak zwane bale przyjacielskie, były wielkim resursem tej birbandzkiej młodzieży. Na te bale nie chodził nikt, oprócz podoficerów i kobiet najrozwiąźlejszego życia, pakietami zwanych. Tych balików nie było wolno, ale tolerowano je, wraże tylko, gdy się wielki hałas na ulicę dostawał, wpadał Jurgaszko z żandarmami i kogo mógł aresztował. Nie było to wprawdzie łatwem dla niego zadaniem, bo najczęściej ostrzeżeni podchorążowie o zbliżaniu się żandarmów, gasili światło i wyslizgiwali się którędy mogli, nawet czasami pomiędzy nogami żandarmów. Ubrani zwykle na takie fety w leibiki, gładko i zwinnie, jak węże, uchodzili szczęśliwie. Tu trzeba dodać, że żandarmerya owoczesna, zawsze stare Napoleońskie wiarusy, nie bardzo ostro łapaniem się bawiła, pomimo wściekania się Jurgaszki, Rożańskiego, Laszewskiego i kilku jeszcze innych oficerów tej broni.

Czwarta, byli to tak zwani herkulesy, odznaczający się siłą ciała i wielkim zapasem życia fizycznego, szafujący temi siłami za złoto bogatych, rozwieszonych dam. Oni to pozostawili wspomnienie osławionych schadzek w sklepach modniarek.

Z takimi kolegami, pomimo, że zawsze miewali pieniądze, mało się wdawano.

Oprócz soboty i niedzieli, każdy dzień w tygodniu był podobny jeden do drugiego i tak:

Zrana po pobudce apel w płaszcach.

Po apelu pół godziny czasu, przeznaczonego do ubioru, poczem rozkaz.

Po rozkazie ci, którzy niby byli rekrutami, uczyli się musztry na dziedzińcu; resztę ćwiczone pod Ujazdowem, w szkole plutonu i t. d.

Po mustrze o godzinie 10-ej śniadanie, to jest pieczeń wołowa, kartofle, kasza lub kluski i pół butelki piwa.

Po śniadaniu czyszczono broń, lederwerki i t. p.

O 2-ej obiad z zupy, pieczeni i t. d., jak śnia-

danie złożony. Po obiedzie najczęściej wyrabianie głosu do komendy pod Ujazdowem.

Jeżeli słota nie dozwalała ćwiczeń na dworze, profesorowie dawali teorię służby frontowej po salach, dzieląc wszystkich na 4 klasy.

Całą zimę, z wyjątkiem bardzo pięknych i suchych dni, dawano teorię, którą każdy na palcach umieć musiał, żeby stanąć do egzaminu przed W. Księciem, inaczej na oficera nie postąpił. O taktyce i strategii nie było mowy. Tych uczono w szkole aplikacyjnej, do której tylko za protekcją dostać się było można. Komenda jednego dnia była po polsku, drugiego po rosyjsku. Trzynastu podchorążych codziennie było komenderowanych na inspekcję w koszarach.

W każdą niedzielę i święto była parada kościelna bez broni. Oprócz tego, co wyżej powiedziałem, nic nas więcej nie uczono. Dopiero po r. 1824 zaczęto dawać języki, t. j. francuski, niemiecki i rosyjski, do czego profesorowie cywilni przychodzili, ale postępy w tym względzie były bardzo mało znaczące.

Kto chciał sam z książek się czego uczyć, nie miał prawie na to czasu, tak wszystkie godziny zajęte były detalami służby.

Jedynym na to sposobem było zostawanie w koszarach w dniach przeznaczonych na urlopy, dla tych, którzy woleli się unysłowo kształcić, niż korzystać z wolności wydalenia się do miasta.

I w tem zachodziły trudności; nie łatwo było pożytecznych książek dostać, a z zakazanemi trzeba się było kryć ostrożnie, bo te zabierano i za czytanie ich karano.

Z takiego systematu nauk nie wiele można było korzystać, co się też pokazało w wojnie r. 1831. Mieliliśmy masę doskonałych oficerów frontowych, ale brak wyższego wojskowego wykształcenia nie pozwa-

łat rozwinąć się talentom, któreby się pewnie między taką liczbą młodzieży znalazły.

O szkole podchorążych konnej nie wiele mogę powiedzieć. Małośmy z nimi mieszały styczności; to tylko wiem, że surowiej od nas była trzymana przez pułkownika Czarnomskiego i kapitana Wrześniewskiego. Ale ponieważ młodzież z kawalerii w ogólności od nas zamożniejszą była, a sama surowość podawała chęć niezłomną do nadużyć, więcej się tam lampartowano, niż u nas.

I tak np. chcąc, aby wszystko było w porządku, wydano rozkaz surowy, żeby latarnie na korytarzach i w stajni wraz z stłuczenia podchorążych za karę sam do szklarza zaniósł i swoim kosztem reperował. To też codziennie prawie wszystkie latarnie były pobite, a podchorążowie tym sposobem nieproszone dostawali urlopy. Trwało to ciągle do samej rewolucji. Mnóstwo innych dowcipów wymyślali, żeby się z koszar wykraść i na złość robić pułkownikowi. To też zwykle loch podchorążymi bywał napelniony, gdzie poncz i wino, przez kolegów podawane, czas skracali i dodawali ciepła przy bardzo lekkim zazwyczaj ubraniu. Między innemi konceptami jeden przez długi czas się udawał. W koszarach szkoły podchorążych konnych stały konie i kareta generała Tomasza Łubieńskiego. Nadrobiona z furmanem, który codzień ukrytego w karecie podchorążego wywoził, a wracając w nocy, odwoził napowrót. Byłoby się do końca to udawało, gdyby się przed jakąś ciocią nie wygadał był podchorąży, a ta pod sekretem przyjaciółkom rozpowiedziawszy, zrobiła, że ten przemysł po wielkiej burzy ze strony pułkownika i kapitana, po liczonym zapakowaniu do lochu winowajców i obiciu furmana, ustał.

Żle i nieczysto karmiono podchorążych kawalerii. Jak utrzymywali niektórzy, był to koncept kapitana Wrześniewskiego, który miał być w spółce z markietanką szkoły, i wiedział, że ci, którzy mają

pieniądze, drogo opłacać musieli dodatki do złych obiadów.

Ponieważ wszystko w szkole jazdy odbywało się na trąbę tak, jak u nas na bęben, a trębacz z gwardyi kirasyerów nazywał się Antonow, więc podchorąży Borejko zrobił dwa wiersze, w wiecznej pamięci zostające:

Trąba Antonowa chrapliwemi głosi
Wzywa podchorążych na smrodliwe sosy.

Byłem w zimie za urlopem na wieczorze u znajomej mi pani Kier.; było tam kilkunastu młodych wojskowych, a między nimi dwóch podchorążych 2 pułku ułanów, obydwaj ze szkoły. Sławni tancerze, powykradali się na wieczór bez urlopu. Muzyka gra tęgiego mazura, obadwa stoją w parach naprzeciw siebie, by zacząć jakąś figurę. Raptem otwierają się drzwi, a w nich ukazuje się zielony mundur z białym kołnierzem i sztaboficerskimi epoletami. Podchorążowie, piorunem rażeni, stanęli jak wryci, rozumiejąc, że to ich pułkownik. Zmiarkował, o co idzie, pocziwy i godny ze wszech miar, na ten czas jeszcze major Schneider, i rzekł z uśmiechem:

— Tańczcie, tylko zwawo, ja Czarnomskiemu nie powiem.

Wieczór się skończył wesoło, i podchorążowie szczęśliwie wślizgnęli się napowrót do koszar, gdzie na ich pryzkach leżały manekiny, przykryte kocem z głowami.

Mówiłem wyżej, że razem z mną zaciągnął się Ruszczyk, z którym często się widywałem i od którego dowiadywałem się o podchorążowskich sztukach. Opowiadał mi on wiele o dobroduszości dwóch Komarów, którzy także razem z nami wstąpili, i razem z nim służyli w huzarach gwardyi, i byli także w szkole. Ciągle im figle ptała. Między innemi nie mieli talentu wydobyć się z koszar, a dowiedziawszy się,

że ich jakaś ciocia przyjechała z Ukrainy, koniecznie chciał się z nią zobaczyć. Pułkownik, czegoś zły, urlopów nie chciał dawać, więc na radę do Ruszczyca. Ten, namyśliwszy się, obiecał, że ich nazajutrz rano wyprawi, ale za fatygę kazał im dla kilkunastu kolegów zafundować wieczorem przed wyprawą wazę ponczu. Nazajutrz rano kazał im poubierać się ile możliwości paradnie i zaprowadził do stajni, której okna wychodziły na plac musztry. Właśnie odbywała się piesza i sam pułkownik był obecny.

Wiedział o tem niecnota, kazał jednemu z Komarów wleść na stół, i pomagał mu, żeby się tyłem nogami naprzód wysuwał. Jak tylko pułkownik zobaczył buty glansowane i czerwone spodnie, dał znak, żeby wszyscy stali spokojnie i milczeli. Spadł Komar na nogi, a obróciwszy się, ujrzał Czarnomskiego, jak głowę meduzy. Tymczasem Ruszczyca puszcza drugiego brata, ale głową; biedak chciał się cofnąć, ale już było zapóźno.

— Daj go tu! za uszy! — krzyknął pułkownik.

Poskoczyli podchorążowie, śmiejąc się do rozpuku, wyciągnęli biednego Komara i koło brata postawili.

— Do lochu na 14 dni w koszarach! dusić, dusić, dusić!

To było jego faworytalne wyrażenie.

Opowiadał mi, jak raz, kiedy jeszcze istniała gwardya ułanów polskich, dano rozkaz, ażeby podchorążowie siedli oklep na dekach tylko na konie, i stępo na spacer pojechali. Droga szła przez Nowy Świat. Na balkonach i w oknach pełno kobiet. Jak tu było można wytrzymać i nie wziąć konia w kupę. Zaczęli tedy rżnąć lansady, wszystkie konie bardzo się rozogniły; między innemi siedział na dzielnym koniu podchorąży, Michał Czacki, doskonały jeździec, dał koniowi ogromne ostrogi, koń się spał, a potem obydwoma zadniemi nogami wierzgnął tak, że się podkova urwała i poleciała z całą siłą na balkon,

napelniony kobietami. Szczęściem, żadnej nie skaleczyła. Na tym balkonie mieszkała pani Zawiszyna z trzema bardzo ładnymi córkami, u których gromadziła się młodzież wojskowa z jazdy, doskonale przyjmowana. Wszyscy się w Zawiszankach kochali.

Po spacerze przebrał się Czacki w parade i poszedł przeproszać te panie za strach, jakiego je nabawił. Tam poznał pannę Pilchowską, koło której podkova najbliżej przeleciała i która ze strachu zemdląta. Panna była przystojna, zalotna i bardzo zręczna. Zaczął coraz częściej bywać, zakochał się po uszy, a zostawszy wkrótce oficerem, wziął dymisyę, ożenił się z nią i do jej śmierci siedział okrutnie pod pantoflem. Takie było jego przeznaczenie. Nieraz małe przyczyny pociągają za sobą wielkie skutki.

Ale dosyć o kawalerji, wróćmy napowrót do naszej szkoły piechoty. W roku naszego wejścia podchorążowie jeszcze nie myśleli nic o przyszłości. Służba czas zabierała, po służbie myślano o zabawach; niektórzy czytali najczęściej romanse i tłuste poezye, gdzieś tam tylko siedział któryś z poważniejszą książką w ręku, udzieloną przez któregoś z oficerów instruktorów, do których się pojedynczo prawie potajemnie garnęli. Wtenczas to jeszcze reszta szkoły patrzyła na nich zukosa, nie przeczuwając, że to miał być zaród stowarzyszenia patriotycznego, które 1831 rok wywołało.

Na wiosnę przykomenderowano do nas oddział junkrów z korpusu litewskiego na naukę musztry, którą w tym korpusie na sposób polski zaprowadzono. Piękna to bardzo była młodzież i dobra, ale, z nader tylko małemi wyjątkami, umysłowo niewykształcona. Przeszedłszy, jak każdy z nas, szkołę rekruta i żołnierza, stawali z nami podług wzrostu do frontu. Nie byli oni jeszcze tak wyrobieni, jak my, więc niektórym przez litość (choć to było zabronione) cicho się podpowiadały tempa przy robieniu bronii.

Nadjechał do Warszawy W. Książę Michał, pod którego zwierzchnictwem stały wszystkie zakłady naukową wojska rosyjskiego.

Przychodził często patrzeć się, jakie postępy te junkry robią.

Pewnego razu cała szkoła była razem z junkrami ustawiona na placu Ujazdowskim. Było robienie bronią. W. Książę Michał stał naprzeciw środka, obok komenderującego pułkownika. Naprzeciwko niego prawie stał w szeregu między mną a podchorążym Bietkowskim, junkier, śliczny chłopak, który aż drżał na widok tego wysokiego, barczystego, surowego księcia.

Zakomenderowano nabijanie dowolne. Ten manewr pomimo, że najtrudniejszy w robieniu bronią, tak szedł doskonale, że się zdawało, jakoby wszystkie ręce, karabiny i ladsztoki jedną i tą samą sprężyną poruszane były. Wszyscy sobie w myśli tempa rachowali. Spostrzegłszy Bietkowski, że junkier zmieszany, cicho, prawie bez otwarcia ust, tempa mu podpowiadał. Wszystko szło doskonale, aż do włożenia ladsztoku na swoje miejsce; wpuścił go biedak w lufę, a że poprawiać się nie można było, wziął na ramię broń.

Spostrzegł to swem bystrem okiem W. Książę Michał; kazał wziąć do nogi broń.

Wszyscyśmy pobledli ze zgrozy i strachu.

Dwa lata spędziłem w szkole, a że w życiu i pracach naszych ciągle była jednostajność, więc o tem nie mam co mówić. Wspomnę tylko o niektórych wypadkach, jakie w garnizonie naszym przez ten czas zaszły.

W czasie obozu, gdzie się znów z Adolfem widziałem, z którym o Julii nagadać się nie mogłem i ciągle o niej myślałem, kazał W. Książę odkomenderować po oddziale z każdego pułku piechoty, dla asystowania ścinaniu na śmierć skazanej młodej przystojnej dziewczyny, która swoją panię siekierą w łóż-

ku zabiła. Dziewczyna nazywała się Rozmuszewska. Wystąpiło wojsko w leibikach bez broni, uformowano na polu za rogatkami Jerozolimskimi czworobok, w którego środku stało rusztowanie, a na niem krzesło i kat, nazwiskiem Bem, w czerwonym z galonami mundurze.

Przywieziono delikwentkę na wozie, białą kobyłą zaprzężonym, a obok niej siedział Kapucyn, przygotowujący ją na śmierć. Piękność tej kobiety, jej spokojność w ostatniej chwili życia, obudziły wielkie współczucie we wszystkich żołnierzach.

Pewnym krokiem weszła po schodach na rusztowanie, gdzie stanąwszy, przemówiła do masy zgromadzonego ludu, zaklinając, ażeby się zbrodni wystrzegał. Posadzono ją na stołku i przymocowano do poręczy sznurami. Kat zebrał jej długie blond włosy i ostrzygł przy samej skórze z tyłu. Zawiązano jej oczy, a kat, ująwszy oburącz miecz szeroki i błyszczący, wywinął nim ponad głowę i ciął ją w kark. Głowa się pochyliła na piersi, fontanny krwi trysnęły do góry, ale głowa nie spadła. Zmieszał się kat, ciął raz drugi i trzeci, nim ją od tułowia oddzielił. Poczem wziął głowę za resztę włosów, podniósł do góry, i drżącym głosem wymówił zwyczajną formułę:

— Ojcowie i matki, strzeżcie wasze dziatki i t. d.

Ta egzekucja wielkie wrażenie zrobiła na żołnierzach; wszyscy prawie pobledli, a niektórzy, szczególnie starcy, tak osłabli, że ich trzeźwić potrzeba było.

Jak wyżej wspomniałem, pułk 4-ty stał ciągle w Warszawie. Rekrutował się zazwyczaj w samej stolicy między rzemieślnikami, dworskimi służącymi, kelnerami i t. p. brukową młodzieżą. Z tego powodu wzrost żołnierzy był mniejszy, niż innych pułków liniowych. Zato zgrabność, postawa i wyrobienie by-

ły daleko swobodniejsze, precyzja w mustrze dochodziła do najwyższego stopnia doskonałości, a nawet elegancyi.

W. Księżę pasyami ten pułk lubił, stawiał go za przykład innym pułkom, które go znów dla tych samych przyczyn nienawidziły.

Z drugiej strony, był to zbiór filutów, figlarzy, oszustów i trochę nawet złodziei. Ale wszystko odbywało się z pewnym ulicznikowskim dowcipem i weselością. Pułk ten był postrachem żydów, którym wielkie psoty robili, do tego stopnia, że jak się kilku czwartaków zjawiało na ulicy Franciszkańskiej, dawał się słyszeć krzyk: „Weisse Dragonkes“ i żydzi zaraz sklepiki zamykali. Bo też zdarzało się, że jak z niewinnymi minami szli jeden za drugim przez tę ulicę, pierwszy na czele wstępował do sklepu, coś tam targował, a targując, pokazywał koledze, za nim stojącemu, ten zaś podawał dalej, i tak z ręki do ręki idąc, towar przepadał, a żydzi nie wiedzieli, u kogo się upominać. Nieskończone były skargi, lecz winowajcy prawie nigdy nie wykryto.

Pewnego dnia w zimie W. Księżę, wysiadając z koczka przed koszarami 4-go pułku, zrzucił z siebie płaszcz, bobrami podszyty, i oddał go żołnierzowi, stojącemu pod koszarami. Wychodząc, woła o podanie płaszcza, lecz ani płaszcza, ani żołnierza odszukać nie było można. Rejwach w koszarach, rewizja najostrzejsza przez parę dni, wszyscy żołnierze konsygnowani, a płaszcz jak niema, tak niema. W końcu Wielki Księżę śmiał się z odwagi złodzieja, który na własność jego się targnął, i obiecywał, że nie tylko karać nie będzie, ale nadto wynagrodzi so-wicie sprawcę, byle się tylko przyznał. Obietnice nie wzbudziły widocznie wielkiego zaufania, bo płaszcz na wieki przepadł.

Innym razem jadąc swemi kasztankami, spostrzegł żołnierza z 4-go pułku dobrze pijanego na ulicy, a że naprędce nie było nikogo, żeby pijanego

na odwach odprowadził, kazał mu za spuszczoneym koczem stanąć i dał do trzymania koniec rękawa od płaszcza, żeby go zawsze czuł. Czwartak nie w ciemię bity, wiedząc, czem to pachnie, dobył sznurek z kieszeni i przywiązał rękaw do budy. Zatrzymawszy się koło odwachu, zawołał W. Ks. podoficera, żeby zabrał pijaka. Podoficer zapytał:

— Którego?...

— Tego, co za koczem stoi. — I obróciwszy się, gdy spostrzegł, że nikogo nie ma, a płaszcz przywiązany, zaczął się śmiać na całe gardło i mówić: — Oto chwiał!

Wielki Księżę sam nigdy wódki nie pijał, dla tego też pijaków antypatycznie nie cierpiał. I tak, kiedy zrana posyłki się meldowały, a obaczył którego mocno na twarzy czerwonego, co się przy ścisaniu mocnem w pasie i w szyi często wydarzało, kazał mu na siebie i na całą swiętę chuchać; biada temu, od którego wódka śmierdziała. Z tego powodu pilnowali wszyscy, zaczawszy od sierżanta do pułkownika, tych, co byli komenderowani na posyłki, a żeby nietylko nic nie pili, ale nawet od wczorajszego obiadu nic nie jedli.

W roku 1818 był następujący wypadek. Na paradzie na Saskim placu ujrzał Wielki Księżę kapitana K., starego Napoleończyka, którego nie lubił, wiedząc, że ma miłość żołnierzy. Kapitan K. był zawsze czerwony, więc naturalnie musiał być pijany. Przystąpił do niego.

— Ty pijany!

— Nie piłem dzisiaj — odpowie.

— Chuchnij na mnie!

Kapitan chuchnął.

— Pijany — i kazał, zaczawszy od Kuruty, wszystkim wachać jego oddech. Wszyscy, żeby się nie sprzeciwić nieomyślności Wielkiego Księcia, utrzymywali, że kapitan pił wódkę. Przyszła kolej na generała Chłopickiego.

— Powąchaj, generale.

Chłopicki powąchał i rzekł:

— Nie czuję wódki, może dlatego, że ją sam dziś pił, bo to mój zwyczaj rano.

Generała Chłopickiego i kapitana K. aresztowano, a po wysiedzeniu 24 godzin na odwachu, obadwa podali się do dymisy i zaraz ją otrzymali. Chłopicki bawił potem ciągle w Warszawie; aż do dnia 29 listopada 1830 r. mało się pokazywał na ulicy, ale go wszyscy znali i pomimo, że chodził po cywilnemu, każdy żołnierz, czy młody oficer salutował go. Najczęściej udawał, że tego nie widzi i nie odklaniał się. Tę jego dumę, czy lekceważenie brano zawsze za chęć niekompromitowania się, gdyż byli tacy, co rozsiewali wieści tajemnicze, jakoby Chłopicki stał na czele spisku.

Nie będąc się rozpisywał nad postępowaniem Chłopickiego.

W tym samym czasie był w wojsku generał brygady Konarski, Tatar, mahometanin, człowiek prosty, ale bardzo waleczny i wielu ranami okryty. Kiedy raz na paradzie, gdzie, jak to wyżej mówiłem, generałowie obok wojska defilować musieli, a Konarski podług formy nóg nie podnosił, przyskoczył do niego Wielki Książę i kazał, żeby nogi tak, jak żołnierze wyciągał. Konarski odrzekł:

— Nie mogę, bo mi rany dokuczają, ale ja takim krokiem jak dzisiaj szedłem pod Austerlitz i byłem w Moskwie.

Natychmiast go aresztowano na czas dłuższy, poczem podał się do dymisy. Takto Wielki Książę starał się ile możności usuwać z wojska polskiego wszystkich dawnych oficerów, którzy nie chcieli ulegać jego rozkazom. Dokonał tego, bo ci, co pozostali, jako to Różniecki, Karnkowski, Rautenstrauch, Hauke i wielu innych, gorszymi byli od obcych.

Później pozbył się także pułkownika Gutakowskiego, bardzo tegiego oficera fligel-adjutanta cesar-

skiego, który będąc szwagrem W. Księcia, bo miał za sobą siostrę księżnej Łowickiej, jako dumny z rodu i zarozumiały Poznańczyk, zaczął W. Księcia w życiu prywatnem traktować jak szwagra. Wielki Książę nie cierpiał żadnego poufania się i zaczął Gutakowskiego prześladować tak, że za radą familii i przyjaciół, wbrew nawet woli cesarza, który go osobiście bardzo lubił, musiał służbę porzucić.

Wiele było podobnych ze starymi wojskowymi wypadków.

Był w gwardyi artylerii konnej polskiej podoficer Grotkowski, krewny księżnej Łowickiej, bardzo przystojny i dystyngowany młodzieniec. Pewnego razu, będąc w szkole na teorii dawanej przez oficera gbura, chciał wyjść na chwilę ze szkoły. Oficer nie pozwalał; tenże, nie zważając na to, zbliżał się już do drzwi; raptem zeskakuje oficer z katedry, chwytając Grotkowskiego za piersi, chcąc go napowrót do ławki wtrącić. Grotkowski oburzony palnął go w twarz, że aż się przewrócił. Natychmiast aresztowany, oddany pod sąd, skazany został na śmierć. Wpływ księżnej Łowickiej tego dokonał, że po wyprowadzeniu na plac rozstrzelania, po wytrzymaniu drugiej komendy do dania ognia, złagodził W. Książę karę śmierci na 20-letnie więzienie z kulą; w Zamościu też dosiedział do 1830 roku.

Tego samego roku przed wyjściem mojem ze szkoły podchorążych, osadzono w lochu na kilka tygodni dwóch podchorążych, to jest Migórskiego z gw. strzelców konnych i Peretiatkowicza z gw. grenadierów, za jakieś brudne ekscesy.

Było to w zimie, w czasie wielkiej śnieżycy, kiedy na wartę do aresztantów komenderowany był oddział gw. strzelców konnych, z podchorążym Wigurą, bardzo poczciwym chłopcem. Migórski w nocy prosi Wigurę, żeby ich obydwóch na parę godzin wypuścił do miasta, obiecując pod najświętszem słowem honoru, że wrócą za dwie godziny do kozy,

tylko się muszą trochę ogrzać. Biedny Wigura lituje się i pozwala wyjść tym niepoprawnym lampartom.

Każdy z nich udał się w inną drogę; gdzie był Migórski, nie wiem, ale Peretiatkowicz poleciał prosto do jakiegoś szynku; tam się spił i zaczął ekscesy wyrabiać, do tego stopnia, że gospodarz był przymuszony posłać po wartę. Nadszedł patrol rosyjski. Peretiatkowicz nadzwyczajnie silny, wydarł broń pierwszemu żołnierzowi i cały patrol, kolbą walcząc, pokaleczył i rozprędził. Byłby uszedł, gdyby na ten okrzyk nie przybiegło więcej żołnierzy. Po długiej walce został ujęty i na odwach zaprowadzony. Gdy się przekonano, że wypuszczony został z lochu, natychmiast adjutant placu poleciał na miejsce, przejrzał listę aresztantów, a nie zastawszy jeszcze Migórskiego, aresztował Wigurę, którego razem z obydwoma winowajcami pod sąd oddano.

Peretiatkowicz skazany został na śmierć, ale zmieniono wyrok, tak jak Grotkowskiemu, na 20 lat z kulą. Migórskiego osądzono na 20 lat bez kuli, Wigura zaś został zdegradowany i oddany na prostego żołnierza bez wysługi do piechoty, wysiedziawszy poprzednio trzy miesiące w lochu.

Kończył się drugi rok mojej bytności w szkole podchorążych; wkrótce stanąć nas musiało dwudziestu kilku do egzaminu przed W. Księciem.

Byłem pewny siebie; umiałem tak teorię, jako i praktykę tak doskonale, że zacząwszy od pułkownika Oledzkiego, wszyscy oficerowie nasi i koledzy byli pewni, że po egzaminie awansować będę na podporucznika.

Nadszedł наконец ten wielki dzień strachu i nadziei.

Wystąpiliśmy wszyscy w największej paradzie. Odbył się nasamprzód egzamin z teorii przy tablicy. Wszyscy prawie szczęśliwie przeszli. Wielki Książę był w niezłym humorze; oczy mu się roześmiały, czoło rozfałdowało; w każdego z nas duch wstąpił.

Chodziło jeszcze o praktyczne komenderowanie, zacząwszy od szkoły żołnierza aż do pułku; wszystko szło doskonale, a wróciwszy napowrót do koszar, byliśmy pewni, że najmniej połowa awansować będzie. Nazajutrz rano zawołał nas pułkownik i oświadczył, że Wielki Książę był zupełnie zadowolony egzaminem, lecz ponieważ zaprowadzone niektóre nowe dodatki do mustry, których nas uczono, nie są jeszcze znane w pułkach liniowych polskich i w korpusie litewskim, więc nikt tym razem na oficera nie postąpi, póki przez rok nie będzie instruktorem w jakim z pułków, poczem niezawodnie wszyscy awansować będą, jeżeli i pułki powyuczają i sami się do brze sprawować będą.

Pospuszczaliśmy nosy na kwintę, ale ponieważ na taki wyrok nie było apelacji, więc każdy się cieszyć musiał nadzieją większej wolności, jako instruktor, swobodniejszego życia szczególnie, jeżeli którego los do korpusu litewskiego zaprowadzi, gdzie pułkownicy i oficerowie bardzo lubili instruktorów z Warszawy.

Za parę dni wręczył pułkownik każdemu z nas rozkaz z przeznaczeniem do jakiegoś pułku. Każdy z nas prawie poszedł do cudzego. Jakież było moje zadziwienie, gdy przeczytałem, że za odznaczenie się przy egzaminie, spadł na mnie honor uczenia własnego pułku, z którym byłbym się chętnie na jakiś czas pożegnał. Nie było rady; z niewielkiem ukontentowaniem odebrałem z rąk pułkownika nakaz, oraz pieniądze na pocztę, ażeby nazajutrz rano bezzwłocznie udać się do Zamościa.

Pożegnawszy się serdecznie z kolegami, ruszyłem z Warszawy. Pocciwy Stanisław odprowadził mnie do Miłosny, gdzie przy butelce wina pożegnaliśmy się prawie ze łzami. Jadąc dalej, marzyłem. Jeżeli z jednej strony żał mi było serdecznie epoletów, to z drugiej widziałem palec Opatrzności zbliżający mnie do mojej ubóstwianej Julii, marząc

o przyszłym szczęściu, o częstszym widywaniu się w niedzielę i święta wolne od instrukcyi, a może i o ożenieniu, jak już raz, za rok obiecany, z pod karabina wylizę.

Przybyłem do Zamościa wieczorem. Poszedłem natychmiast zameldować się adjutantowi, który rozkaz odemnie odebrał i zalecił, żebym nazajutrz rano zameldował się pułkownikowi. Pobiegłem do mego pocziwego Żelskiego, który się mną bardzo ucieszył. Nadszedł Adolf; po serdecznym przywitaniu mówił mi wiele o Julii, wspominającej mnie często, o rodzicach, którzy mnie polubili, na koniec o Józi, przyjaciółce Julii, nadzwyczajnie wesołej i pustej dziewczynie, w której się sam po uszy zakochał. Znajdując się obydwa w podobnym położeniu, rozmawialiśmy o naszych kochankach do późna. Adolf poszedł do swoich koszar, ja zaś do domu zajezdnego, nie mając dotąd wyznaczonej kwatery.

Nazajutrz była niedziela; po parady kościelnej udałem się do pułkownika, który był dosyć kontent, że ja na instruktora przybywam, mianowicie zaś dlatego, że instruktor obcy rozgłaszałby w wojsku o jego tyranii i niesprawiedliwości.

Dał mi rozkaz, ażebym zaraz w poniedziałek rano wybrał po dwóch podoficerów z każdej kompanii na instrukcję, którzy wyuczywszy się, w tej pracy pomagać mi mieli. W tym względzie kazał napisać rozkazy do wszystkich kapitanów.

Stało rano 16-stu podoficerów pod bronią, wszyscy w ogólności byli bardzo dobrze wyrobieni, niewiele więc czasu i pracy kosztowało mnie wyćwiczenie ich w nowych odmianach. Gdy zameldowałem pułkownikowi, że już są gotowi, kazał powtórzyć całą naukę.

Zaraz potem każdy z nich dostawał oddział własny kompanii i pod moim dozorem uczył, oficerowie musieli być przytomni i sami z początku z bronią w ręku razem z żołnierzami się uczyli. Tu już

nie obchodziło się bez pałek, któremi pułkownik i mój major sowicie obdarzali żołnierzy, szczególnie rekrutów. Major K. lubił namiętnie liczbę okrągłą. Był tego przekonania, że pięćdziesiąt pałek lepiej się w pamięć wbija niż pięć, pięćset zaś lepiej służy do poprawy niż pięćdziesiąt, i tym sposobem wymierzał napomnienia i kary w swoim batalionie. Słyszałem, że później wzięwszy dymisyę z mundurem i pensyą, a przeniósłszy się do Galicyi i gospodarując w majątku żony, zastosował swój system do chłopów, którzy go za to często podpalali.

Gdybym był został instruktorem w innym jakim pułku, wolnoby mi było niedziele i święta przepędzać, gdzieby mi się podobało; ale pułkownik Czyżewski nic o tem nie chciał wiedzieć i za każdym wyjazdem z Zamościa musiałem brać urlop. Najczęściej mi go nie odmawiano, ale jak na złość, kiedym sobie obiecywał najwięcej przyjemności w domu rodziców Julii, urlopu dostać nie mogłem, co mnie do ostatniej pasyi przyprowadzało.

Zostałem już w Zamościu od kilku miesięcy zakutych i pracujących koło budowli twierdzy Grotkowskiego, który się odznaczał swobodną postawą, Peretiatkowicz, który zadziwiał siłą przy podnoszeniu ciężarów, i Migórskiego, który sprytną układnością, wymową, podchlebstwem i niskimi ukłonami zyskał sobie względy komendanta twierdzy, pułkownika Siemianowskiego, a ten, dowiedziawszy się, że Migórski pisze jak najlepszy kaligraf angielski, a do pracy fizycznej jest delikatnej i wątpliej kompleksyj, wziął go do swojej kancelaryi i bardzo był zadowolony z prześlicznego pisma, dobrego sprawowania i pilnego oddawania się pracy. Szczycił się przed drugimi oficerami swoim wynalazkiem, stawiając innym wolnym swoim pisarzem Migórskiego za przykład.

Siemianowski był to dawniej oficer waleczny,

salonowo wykształcony, dosyć oczytany, ale z charakteru lekki i popędliwy.

Za Księstwa Warszawskiego komenderował pułkiem piechoty, z którym miał wychodzić na kampanię rosyjską. Pułk stanął w gotowości do marszu na Krakowskiem - Przedmieściu, czekając księcia Poniatowskiego do przelustrowania. Pułkownik Siemianowski przebiegł na koniu poprzód samym frontem dla ostatecznego wyrównania szeregu. Wtem jeden żołnierz osłabł i w chwili, kiedy pułkownik do niego się zbliżał, podał się naprzód. Pułkownik w złości chciał go końcem szpady wyprostować, ale czy istotnie żołnierz, straciwszy przytomność, sam wpadł na ostrze żelaza, czy pułkownik zanadto siły użył do naprostowania go, nikt nigdy się nie dowiedział. Żołnierz bowiem padł trupem. Na to nadjechał książę Józef, który, będąc prawdziwie ojcem żołnierzy, oburzył się bardzo tym wypadkiem; kazał oddać Siemianowskiego pod sąd wojenny, który byłby go niezawodnie na rozstrzelanie osądził, gdyby nie sławna obrona sławnego z wymowy Ludwika Osińskiego. Darowano mu życie, ale od tego czasu ani za dawnej, ani za nowej organizacyi nie dostał już pułku pod swoje dowództwo, tylko tulał się po sztabach i komendach placu, w ogólności więcej cierpiany, niż lubiany w wojsku.

• Migórski w wolnych od pracy chwilach rysował na zrynkach papieru deseniki damskie, pejzażyki, karykatury i t. p. bardzo ładne rzeczy. Rozsiewał je niby niechcący po swoim stoliku tak, żeby pułkownikowi w oczy wpadały. Siemianowski zabierał te drobiazgi od niechcenia i pokazywał w domach, gdzie były damy, chwając się swoim artystą. Podobały się te roboty bardzo niektórym paniom, prosiły więc pułkownika, żeby im kazał porobić desenie do robót ręcznych. Szczęśliwy, że się poci pięknej małym kosztem może przysłużyć, przyszedł do kancelaryi w chwili, kiedy nikogo, oprócz Migór-

skiego, nie było. Pokazał mu pozbierane świstki papieru i zapytał:

— Czy to twoja robota?

Migórski niby przestraszony, zaczął pułkownika przeproszać za psucie papieru zostającego od kopert. Pułkownik napominał Migórskiego, żeby się w rysunki nie wdawał, chyba na jego własne żądanie. Migórski ze skruczą obietcą stosować się do rozkazów. Uradowany pułkownik, który sam niegdyś także nieźle rysował, podał mu myśli swoje do wykonania gustownych deseni do haftu. Migórski obiecał wykonać jak najlepiej, tylko prosił, żeby dla większej akuraczności mógł dostać cyrkiel, dobrych ołówków, pięknego papieru, pendzli i tuszu. Wszystkiego tego dostarczył mu Siemianowski, ciesząc się bardzo przyjemnością, jaką sprawi paniom. Migórski zaś w tych rekwizytach widział wyswobodzenie się z niewoli. Wziął się zaraz do roboty, która bardzo pięknie, czysto i akuracznie, ale powoli postępowała umyślnie.

Był zwyczaj, że w południe, gdy na parę godzin rozchodzili się pisarze, Migórskiego w kancelaryi zamykano. Tego mu trzeba było do przeprowadzenia planu, jaki sobie w głowie ułożył. W nocy zaraz skomunikował się z Peretiatkowiczem i trzecim jeszcze więźniem, którego nazwiska zapomniałem, obiecując, że on w kancelaryi pofabrykuje paszporty, że Peretiatkowicz siłą swoją pokruszy kajdany, że wyszedłszy z kazamat, łatwo je będzie zdjąć, a jak wszystko się już wygotuje, oni znajdą się wieczorem rozkuci w pewnym miejscu umówionem, między gruzami, a ztamtąd, korzystając z ciemnej zimowej nocy, spuszczać się z wałów i zniknąć w fortecę...

Migórski ciągle rysował, więc bardzo rzadko już nawet używany był do pisania. Pewnego dnia wręczył pułkownikowi pięknie wyrobiony portret jego z pamięci, bardzo podobny, czem tak sobie ujął ko-

mendanta, że ten mu nawet ze swojej kuchni kazał dawać jedzenie. Tymczasem w chwilach zamknięcia kancelaryi pracował usilnie nad paszportami ¹⁾).

Już kilka razy z Adolfem jeździłem do ojca Julii i coraz więcej zakochany wracałem. Rodzice jej bardzo mnie polubili, nawet stary major nie tał się z tem, że chętnie takiego, jak ja, przyjąłby zięcia; lecz na to koniecznie trzeba było zostać oficerem.

Pewnego razu, gdyśmy wrócili z takiej wyprawy z Adolfem, grzejąc się w mojej kwaterze i rozmawiając o naszych miłostkach, wpada jak granat do mojej izby znany nam Krajewski, któregośmy odrazu nie poznali. Ubrany był w stary prosty żołnierski płaszcz i takąż furazerkę.

— *Eh! bon soir mes amis* — uściśkał nas serdecznie.

— Co tu robisz?—spytałem, patrząc na płaszcz naszego pułku.

— Zatręknęłem za wami i dotrzymałem danego słowa, pamiętacie?

— Jakiego słowa?—zapytał Adolf.

— Przypominasz sobie, Józefie, jakieśmy byli w obozie przed dwoma laty w baraku Grabowskiego; po wyjściu z lochu za pojedynek z Referowskim obiecałem, że się już z kolegami bić nie będę, ale że jakiego kawalerzystę muszę zdywidować. Dwa lata czekałem na dobrą okazję, наконец okazałem swego.

Nalałem Krajewskiemu szklankę herbaty, którą właśnie piliśmy, a on dalej mówił:

— Byliśmy na baliku przyjacielskim bardzo przyzwoitym; zabawa szła wesoło, dziewczęta były śliczne i było ich dosyć, podchorążych było ze 30-tu

polskich i rosyjskich różnej broni. Między Rosyanami znajdował się jakiś duży junkier z kirasyerów, ale jak mówili, z wielkiej rodziny. Odrazu mi się nie podobał. Rzucił pieniędzmi, a dziewczęta się do niego garnęły. Nakoniec zagrano mazurę, a on ciągnie do koła prześliczną Justysię. Nie znacie jej, bo niedawno w Warszawie się zjawiała. Zobaczywszy, że ona nie z wielką ochotą z nim stoi, zerwałem się z ławki, skoczyłem między nich i wydarłem ją z rąk junkra, zdziwionego moją śmiałością. Powiedziałem, że Justysię dawniej zamówił i że ze mną tańczyć musi. Junkier chciał się ze mną borykać i już podnosił swoją zamaszystą rękę, ale nie tracąc czasu, jak mu wytnę boksa w żołądek, tak się nogami nakrył. Rosyanie zebrali się w kupkę i możeby było przyszło do ogólnej bijatyki, że bym był nie stanął na środku i nie krzyknął:

— Dajcie pokój, koledzy, ta sprawa do mnie należy; ten junkier mnie obraził, że ciągnął dziewczynę przezemnie zamówioną, a ja jego obrażem, że go trochę niedelikatnie na ziemi posadził, więc jeżeli nie jest podłym, to niech się ze mną bije.

Na tę moją mowę uspokoił się wszyscy. Rosyanie otoczyli junkra i stanęło na tem, że nazajutrz rano mieliśmy się rąbać. Zeszliśmy się nad Wisłą, sekundanci chcieli, żebym wziął pałasz kirasyerski, ale nie chciałem, bo byłem pewny, że temu junkrowi tasakiem moim dojadę.

Stanęliśmy naprzeciw siebie *en garde*; jakem tylko zobaczył, że mój przeciwnik szeroko machać zaczyna pałaszem, pomyślałem sobie *j'ai ton affaire*, dałem mu się niepotrzebnie wysilać, parując tylko, nakoniec jak się skurczę, jak się podrzucę do niego właśnie w chwili, kiedy mnie chciał w łeb zajechać, sparowałem cięcie koło samej gardy, a repostując, ciałem go od ucha do brody i urwałem jeszcze po łapie.

¹⁾ Wszystkie szczegóły przygotowania do ucieczki Migórskiego i jego towarzyszy, słyszałem od niego samego, zszedłszy się raz z nim w obozie, kiedy z pułkownikiem Zaliwskim maszerował na Litwę.

Padł nieborak krwią obłany bez pamięci, pokazując zęby z boku; zabrali go sekundanci. Ta rzecz nie dała się ukryć. Dowiedziano się, że to ja tak go naznaczyłem, doniesiono W. Księciu. Wpakowało mnie nasamprzód do lochu o chlebie i wodzie; do tego traktamentu tak byłem przyzwyczajony, że sobie nic z tego nie robił.

Ale po trzecim miesiącu wyprowadzono mnie przed front mego batalionu, gdzie *Sapristi!* przeczytano mi wolę W. Księcia, że mnie degraduje i odsyła na prostego żołnierza do 2-go pułku strzelców pieszych, na pastwę dla waszego pułkownika.

Voilà l'affaire. Przykro mi się dyabelnie zrobiło; nic to, że mnie zdegradowano i tu odesłano, zresztą w tej chwili ciebie, Józefie, i starego Żelskiego sobie przypomniałem. Więc są i znajomi, ale mnie martwiło, że w Warszawie miałem dwie ciotki, jedną baronową, a drugą kasztelanową. Obydwie mnie nie cierpią jak powietrze *et pour reconnaissance je les fais enrager.* W razach, jakem od matki nic dostać nie mógł (co się bardzo często wydarzało), udawałem się do której z tych elegantek, wybierając zawsze chwilę, gdy miały towarzystwo, a natenczas, żeby mnie się pozbyć, utargowałem coś odczepnego. Tu już ta spekulacja ustala. Bo chociaż baronowa niedaleko ztąd mieszka, mnie urlopu nie dadzą, a choćby i dali, to cóż jej na wsi zrobić; pisać zaś nie warto, bo pewnie nie odpisze.

Wprawdzie Zamość to nie Warszawa, życie mniej kosztuje, trzeba się będzie 15-ma groszami na dzień obchodzić. Ale od czegoż głowa?

Tu uderzył się po wystrzyżonej czuprynie.

W Warszawie bawiłem kolegów, a ci mnie lubili. Tu prosty żołnierz dokaże, że mnie żołnierze na rękach nosić będą. W Warszawie, jak były pieniądze, wymyślałem w jedzeniu, bo *sac à papier*, znam się na kuchni. Pijało się *du punch à la romaine* i szampana; tu spakuje się kawałek brykacza

(chleb komiśny) i wypije się masę śmierdziuchy, *ce n'est pas bon, mais cela grise toujours*, byle wesołości nie tracić; *voilà l'essentiel.*

W Warszawie dziewczęta w piórach i atlasach, tu w grubych spódnicach i problematycznych koszulach, ale *au fond, cela revient au même. Il faut prendre son parti! vive la gaité!* A jak mnie to wszystko znudzi? *Adieu!* jest jeszcze ostatni resurs. Dwa łuty ołowiu i trochę prochu, *et tout est dit.*

Zabolał nas ten cynizm Krajewskiego; właśnie zabierałem się robić mu jakieś uwagi moralne, kiedy dały się słyszeć hębny i trąby capstrzykowe.

Zerwali się Adolf i Krajewski, i każdy z nich poleciał do swoich koszar. Zostałem sam pogrążony w myślach.

Żal mi było biednego Krajewskiego.

Zima tego roku była silna, zawieruchy częste, musztra odbywała się tylko pod dachami.

Już minęły święta Bożego Narodzenia, już się zapusty zbliżały. Roboty koło fortyfikacyj zawieszono; aresztanci po kazamatach siedzieli, rzadko z nich wychodząc na powietrze. Każdy z nich coś myślał zapewne, ale Peretiatkowicz z drugim kolegą układali plany ucieczki, i czekali tylko na wypracowanie paszportów.

Migórski, coraz więcej w łaskach komendanta, bawił go swemi dowcipami, zadowalał wyrabiając rysunki, a tymczasem już miał gotowe trzy paszporty, do których nic już nie brakowało, tylko przyłożenia pieczęci komendanta.

Nakoniec i do tego doprowadził.

Oddając pułkownikowi jakąś bardzo ładną robotę, z której był uszczęśliwiony, zabawiał Siemianowskiego jakiemiś humorystycznymi opowiadaniem w czasie, gdy ten pieczętował ekspedycje. W tej chwili wszedł adjutant placu i meldował coś pocichu komendantowi. Ten się od stolika odwrócił, a Migórski robiąc niby porządki, rzucił na stolik papiery,

które pieczęć przykryły. Była to chwila decydująca. Z wielkiem biciem serca usiadł do swego stolika i zaczął coś z natężeniem robić, nie zwracając oczu w stronę pieczęci. Siemianowski zamknął biuro, zapomniał o zostawionej pieczęci i wyszedł z kancelarii, gdzie Migórskiego, jak zazwyczaj, zamknęto.

Cicho jak kot zbliżył się do drzwi, a wysłuchując, zaglądał przez dziurkę od klucza. Serce mu biło, jak gdyby piersi rozsadzić miało. Nie było czasu do stracenia, wydobyl z zanadru paszporty, porwał za pieczęć, a nasmarowawszy drukarskiem czernidłem, które na osobnym stało stoliku, poprzykladał pieczęcie. Zaledwie zdążył pochować paszporty, pieczęć wytrzeć i na swoim miejscu pod papierami położyć, wpadł komendant. Zastał go już spokojnie siedzącego przy robocie, pieczęć schował, wziął z sobą jakieś papiery, jak gdyby umyślnie po nie przyszedł. Rzucił okiem na robotę Migórskiego, poklepał go po ramieniu i wyszedł znów jak gdyby nic.

Migórski odprowadzony został wieczorem do kazamat i dał znak okiem swoim towarzyszom, że już wszystko gotowe. Był zwyczaj, że, jak w kazamatach więzieniu, przed położeniem się spać aresztantów wyprowadzano po kilkunastu kurytarzem na dwór, gdzie stało zawsze kilku żołnierzy patrzących, żeby się który nie oddalił. Wicher, burza i zameć śnieżna były okropne. Żołnierzom oczy śnieg zalepiał. Korzystając z tego spiskowi, jeden po drugim w różnych odstępach powysuwali się z linii i udali się na umówione miejsce zebrania.

Peretiatkowicz porozlamywał okowy. Po przejściu pierwszego rontu pospuszczali się z muru, poprzelazili dalsze fortyfikacje i znaleźli się nakoniec w czystym polu.

Lasy ordynackie nie były dalekie. Granica austriacka o kilka mil tylko odległa, tam ich czekała wolność. Ale główną do dopięcia tego celu rzecz

była konieczna zmiana odzieży na jakiegokolwiek bądź łachmany.

Szli przez całą noc lasem i manowcami, pod osłoną zamieci, nie spotkawszy żywej duszy. Nadedniem dobili do stogu siana, na odosobnionej łące. Tam postanowili wypocząć, cały dzień przeleżeć, i znów nocą puścić się dalej.

Ledwie się pozakopywali w siano, ledwie oczy do snu kleić się zaczęły po tej okropnej fatydze i strachu, usłyszeli trzy jeden po drugim wystrzały z armaty, na znak ucieczki więźniów dane. Nieobecność ich pokazała się dopiero przy rannym apelu. Zaraz więc na wszystkie strony porożylano pogonie do ścigania uciekających.

Pomimo tego, nie ruszali się z miejsca, czekając nocy, tembardziej, że zawierucha ustawać zaczęła. O zmroku puścili się w dalszy pochód ku Józefowu, wymijając wszakże drogi, z uchem i okiem wyteżonem.

Sity, wycieńczone głodem i brnięciem po zamieciach, zaczęły ustawać. Migórski pierwszy spostrzegł blade światelko, zaczęli ostrożnie do niego się zbliżać i ujrzeli w odległości karczemkę samotną właśnie w chwili, kiedy światelko zgaszono, podeszli do karczemki i zaczęli ostrożnie pukać w okienko. Wyszedł szynkarz, otworzył i wpuścił ich do izby. Rozpalil ogień w piecu, podał im po kieliszku żądanej wódki i po kawałku chleba, przypatrując się ciekawie ich aresztanckiemu ubiorowi.

Spostrzegł tę ciekawość Migórski, zawołał żyda, powiedział mu, że rzeczywiście byli więźniami w Zamościu, ale wysiedziawszy swój czas, zostali uwolnieni, pokazał mu paszporty, że idą prosto do Sandomierza. Żyd z dobroduszością udaną słuchał, zaczął litować się nad nimi, spytał czyby czego ciepłego zjeść nie chcieli, i zaraz pobudził żydówki, które się zabrały do gotowania, a sam przyniósł trochę

słomy, posłał ją w alkierzu i proponował, żeby sobie do dnia wypoczęli. Kręcąc się żydowskim zwyczajem po wszystkich kątach i sieni, napisał parę słów do arendarza wioski o male pół mili od karczmy odległej, i wysłał do niej bachora, który niby z konewką po wodę idąc, polecał manowcami.

Trzeba wiedzieć, że każdemu, co się przyczyniał do złapania zbiega z fortecy lub dezertera, płacono od głowy po 20 złotych. Żyd, który słyszał znane w okolicy wystrzały, nie bardzo dowierzał paszportom Migórskiego, ale pomimo tego bardzo był rad i uprzejmy dla swoich gości.

Posiliwszy się ciepłą strawą, pokładli się z mocnem przedsięwzięciem opuszczenia przededniem karczmy, tembardziej, że do granicy ledwie już dwie mile było.

Tymczasem żydek zaleciał już do wioski, oddał kartkę arendarzowi, który zaraz pospieszył do wójta gminy, ażeby mu o tym wypadku raportować. Niestety chciało, że w tej wiosce nocowało dwóch żandarmów wracających do Zamościa, z rozjazdu. Zawiadomieni o tem, dopomogli wójtowi gminy zebrać ludzi na sanie i razem z nim śpiesznie i ostrożnie udali się do karczemki, ażeby ją naokoło otoczyć.

Niepokój wewnętrzny nie dawał spać biednym zbiegom. Zerwał się Peretiatkowicz i zaczął chodzić po izbie, a zobaczywszy w kącie wiszących kilka siermiąg chłopskich, zaczął się z nim układać o ich nabycie, co żyda w większe jeszcze wprowadzało podejrzenie, ale nie chcąc pokazać nieufności, przeciągał targ, jak najdłużej w nadziei powrotu żydka.

Niecierpliwy z natury Peretiatkowicz, silną ręką odepchnął żyda od odzieży, zawołał nas, ażebyśmy zabierali i przebierali się jak najprędzej. Na to powstał krzyk w karczmie, żydówki i bachory wrzeszczały w niebogłose. Żyd dał się z nami o odzież i taki się zrobił hałas w karczmie, że nic nie słyszeli

jak ją otoczono, aż dopiero ocknęli się, zobaczywszy wpadających do izby żandarmów z pałaszami na temblaku i odwiedzionymi pistoletami w rękach. Rzucili się do okien, ale te strzeżone były przez chłopów z drągami.

Migórski, który się w tej scenie zachowywał spokojnie, pokazał żandarmom i wójtowi gminy paszporty, które znaleziono w najlepszej formie. Ale ponieważ żyd wrzeszczał, że go rabują, więc nie jako zbiegów, ale jako rabusiów powiązano tych nieboraków, pokładziono na saniach i odstawiono do twierdzy.

Gdy po apelu dowiedziano się w fortecy, że uciekło trzech więźniów, rozruch się zrobił wielki. Komendant biegał, jak wściekły. Dał rozkaz do pulku, żeby natychmiast złuzowano całą wartę. Aresztował kapitana inspekcji na odwachu z oficerem komendantem warty.

Nasz pułkownik skonsygnował w koszarach cały garnizon. Zluzowano wszystkie warty, sprawdzono do jednej sali, gdzie się zaczynały inkwizycje, ażeby dojść, kto do ucieczki pomagał. Ponieważ tego naprędce dojść nie można było, więc skończyło się tymczasem, że wszyscy podoficerowie, co byli na warcie, i ci żołnierze, co stali przy kazamatach, popakowani zostali do najciemniejszego więzienia, resztę zaś niemiłosiernie różgami obito. Komendant natychmiast musiał raportować kurjerem ten wypadek do Warszawy. Sam w strachu o własną skórę, pastwił się razem z naszym pułkownikiem i majorem K. nad biednymi żołnierzami, ćwicząc każdego po kilka razy, jeżeli tylko najmniejsze podejrzenie padło na którego, do czego obadwa szanowni sztabs-oficerowie *con amore* mu dopomagali. Żadne piekło nie wyrówna temu cierpieniu, tej bojaźni, tym męczarniom fizycznym i moralnym, w jakich się przez tych parę dni znajdowała załoga.

Przywieziono nakoniec schwytanych zbiegów,

i zaprowadzono do najgłębszej kazamaty, gdzie ich do muru przykuto łańcuchami.

Duch trochę wstąpił w starszyznę i biedny garnizon odetchnął. Jednakże środki ostrożności ciągle były obostrzone.

Przyjechali z Warszawy pułkownik Hurtig, późniejszy generał, z rozkazem odebrania komendy Zamościa od Siemianowskiego, którego aresztowano we własnej kwaterze. Przybył i sztabs-audytorski i Jurgaszkowski, kapitan żandarmów, na śledztwo i wyszukiwanie współwinnych.

Kuryerzy nieustannie jeździli między Warszawą a Zamościem, jakby rzecz szła o spokój i egzystencję całego państwa. Zapisano stosy papierów, wylamano na palki las łoziny, i pomimo, że do wiosny ciągnęło się śledztwo, nie wykryto nikogo, coby ułatwił ucieczkę.

W ostatnią niedzielę zapust, właśnie w czasie największego rozgardyaszu, byłem zrana w koszarach u Żelskiego, którego pokój przedzielał dwie sale, mieszczące w sobie drugą kompanię.

Położyłem się na jego pryczy, czekając powrotu od raportu. Przyszedł nakoniec sierżant, zawołał ordynansa, który się nazywał Pirog; oddał mu lederwerk i kaszkiet do wytarcia i ustawienia na swoim miejscu. Zatarł ręce, poprawił wasa, nakrył furażerką łysinę, siadł przy stoliku pod oknem, otworzył szufladę, wyjął papiery, poprawił pióro i tylko co się miał zabrać do pisania, gdy otworzyły się drzwi od korytarza.

Wszedł mój znajomy w zielonej kurtce z czarnym baranem, w rajtuzach skórą podszytych, z kresą, dzielącą twarz od czoła do brody, pomimo lewego oka, z parą siwych, ogromnych, obmarzłych wąsów i obfita jeszcze czupryna, ekonom ojca Julci, dawny kolega Żelskiego i wielki jego przyjaciel. Obadwaj pod starym majorem, który kompanią dowodził, w Hiszpanii służyli. Wspólność wytrzymanych tru-

dów, pamięć zwycięstw i niebezpieczeństw, przebytych pod tą gorącą strefą, w której każda twarz nieznajoma przedstawiała nieprzyjaciela, każdy krzak lub załom skały wysyłał morderczą kulę, złączyła w trwałą i nierozzerwalną przyjaźń te dwie brązowe, pocziwe, chociaż różnorodne istoty.

— Kordysz! Żelski! — wydały razem silnym głosem dwie piersi z radością.

Kordysz, tak się zwał nowoprzybyły, oderwał od wąsów dwie sztuki lodu. Rozwarły się cztery silne ramiona. Serdeczne nastąpiło uściśnienie. Uściśnienie, któreby trzeciego między nimi splaszczyło na opłatek. Wycalowawszy się serdecznie, puścili się raptem i odskoczyli od siebie, patrząc w oczy jeden drugiemu, jakgdyby oddawna się nie widzieli.

— Pirog! — zawołał grzmiącym głosem sierżant.

Pirog w mgnieniu oka stał już koło drzwi w płaszczu, wyprostowany, ręce na szwach, furażerka w prawej.

— Pirog!

— Słucham, panie sierżancie.

— Masz tu 10 złotych, maszeruj biegiem pod „Karpia” i przynieś sztosik kminkówki i dwie butelki portu.

— Słucham, panie sierżancie.

— Przynieś jeszcze bochenek świeżego chleba od piekarza, wiesz?

— Wiem, panie sierżancie — na rogu ulicy.

— Za resztę serdelków i kawałek sera zwierzyńckiego. Marsz.

Pirog pobiegł, jak oparzony.

Wszystkie te rozkazy tak szybko były wykonane, że flegmatyk z rodu Kordysz nie miał czasu przerwać komendy i już Pirog daleko był za koszarami, gdy się odezwał:

— Kolego! — nie mam ani momentu czasu. Pan major wysłał mnie z rozkazem, ażeby jak najprędzej wracał, porobił sprawunki na bal dzisiejszy, bo

się pan major gości spodziewa. Wstąpiłem tylko do koszar, ażeby ciebie, kolego, uściskać i oddać list panu Adolfowi od panny Julii.

— A gdzie pan Adolf? — trwożliwym zapytał głosem, patrząc po wszystkich kątach kwatery.

— Zaraz przyjdzie — odezwałem się powstawszy.

Kordysz odetchnął jak wieloryb.

— Jak się ma szanowny nasz major?

— Zdrow, Bogu dzięki; trzyma się, choć mu rany czasami w zimie dokuczają.

— A Julcia? a panna Julia — poprawiwszy się, zapytałem.

— Ten nasz aniołek zdrow także, tylko się martwi, bo jej pan major powiedział, że pan Adolf pewnie dziś urlopu nie dostanie — i spojrzał zukosa na mnie, a ja okrutnego spiekłem raka.

Nowe otwarcie drzwi przerwało rozmowę. Wszedł kapitan inspekcji, człowiek niemłody, z dwoma krzyżami na piersi, z twarzą, na której wesołość z łagodnością, oraz bystrym wzrokiem się malowały.

— Jak się macie, chłopcy?

— Życzymy zdrowia panu kapitanowi — odpowiedzieliśmy razem.

Spojrzał na Kordysza, poklepał po ramieniu.

— Jak się masz, stary?

— Zdrow jeszcze, panie kapitanie.

— Co tu robisz?

— Przyjechałem z rozkazu pana majora.

— Pozdrów od dawnego kolegi tego szanownego męża.

— Dobrze, panie kapitanie.

Przez czas tej krótkiej rozmowy ustął szmer w obu dwu salach przybocznych, kapitan zajrzał i wszedł do jednej i drugiej. W każdej z nich stali już żołnierze w zapiętych płaszczach koło swoich prycz. Zanim skończył ten krótki przegląd, wpadł

zadyszany i pomimo mrozu zapocony Pirog i poustawiał butelki na stoliku. Wódkę między porterem, przed niemni serdelki na bibule i ser na kawałku białego papieru, a na prawem skrzydle chleb i nóż wyostrzony.

Nadbiegł Adolf, rozerwał oddany sobie bilecik, przeczytał, potarł rękami podchorążowską czuprynę, dał mi list do przeczytania i westchnął głęboko. Pirog także już stał przy swojej pryczy.

Wrócił kapitan z drugiej sali.

— Dobrze! wszystko w porządku. Spojrzał na stół. — A tu, widzę, na piękne śniadanie? Dobrze, dobrze! tylko nie głęboko w szkło zagłądajcie.

— Może pan kapitan zrobi nam honor? — z nieśmiałością odezwał się Żelski.

— Dobrze! kieliszek wódki nie zawadzi po parady przy 18-tu stopniach mrozu. Dowcipnie mówił ten Hiszpan w czasie naszej nieszczęśliwej rejterady: *En mi tierra non asse tanto cholor comme a chi frío*. Szczególna rzecz, ci wypieчени południowcy byli jednak wytrzymalsi na zimno od Francuzów.

Żelski odkorkował sztof, nalał kieliszek i wytarłszy go poprzednio czystą chustką, podał kapitanowi.

— Pij do mnie — rzekł kapitan — wszak nieraz z jednej pijaliśmy manierki.

Wypełnił rozkaz Żelski, wytarł znów kieliszek, nalał.

Kapitan wypił, zakąsił kawałkiem chleba i zwracał się już do drzwi.

— Panie kapitanie — rzekł Adolf błagającym głosem.

— Czego chcesz?

— Niech pan kapitan raczy przeczytać — i podał mu list Julii.

Rozśmiał się serdecznie kapitan, spojrzał na nas obydwóch.

— Chciałoby się tańczyć, jak widzę, a tu ur-

lopu ani weź. Chciałoby się poodsadzać ułanów z Krasnegostawu—do dyabła—szkoda. Żelski!

— Słucham pana kapitana.

— Pójdź do kapitana Dobr., który teraz powinien być w koszarach, powiedz mu, że go proszę, ażeby się do mnie raczył pofatygować.

Poszedł sierżant.

— Na miłość Boga, panie kapitanie!—ze łzami prawie zawołał Adolf.

— Cicho—rzekł kapitan.

— *Kordysz!* ja ciebie znam, wiem, że i tortury św. inkwizycyi nie wydusiłyby z ciebie niepotrzebne słowa. Zostań!

— Słuchajcie, chłopcy; i ja byłem młody, i ja modliłem się nieraz do czarnych oczu jakiejś Julii i szalałem za niebieskimi Józiami.

Tu jeden po drugim z nas oblał się rumieńcem.

— Dziękujcie Bogu, że na mnie dziś inspekcja. Tylko mieć rozum! Urlopu sam papież wam nie wyrobi. Ale po południu wyjść niby na spacer za bramę, najać żydka, albo chłopca, tańczyć do północy, wrócić trzeźwo i stać blisko bramy, jak otwierać będą. Nie zabalamucić się! Ja o tem nic nie wiem; a jak bym był przymuszony dowiedzieć się, podam w raporcie za dezerterów. Resztę wiecie.

Chcieliśmy ucalować ręce kapitana, nie pozwolili. Uściskał nas jednego po drugim.

— Tylko rozum!—jeszcze raz powtórzył i poszedł.

Kordyszowi łza spłynęła po wąsach.

— Zawsze dobry, zawsze pocziwy!—rzekł, obcierając oczy mankietem.

Wrócił Żelski, zaprosił nas na śniadanie, i tylko co staremu koledze nalał kieliszek, wszedł Krajewski w grubym płaszczu, z którym biała, chociaż trochę zanadto zarumieniona twarz, białe i bardzo delikatne ręce i ruchy pełne salonowej elegancji, nie dobrze harmonizowały.

— *E vivau los spaniolos! los negros! los blancos!*—zawołał, patrząc na starych przyjaciół.

— Dobrzem trafił—*Caracho!*

— Kto funduje?

— Pan sierżant.

— Pan sierżant nie dopuści, żebym był obojętnym spektatorem tak miłego dla oczu moich widowiska.

— Panie hrabio!—odezwał się Żelski z uśmiechem.—Nigdy nie odmówilem koledze udziału, mając szkło pełne i chleba kawałek. Służę—i nalał mu kieliszek.

— *A vos santés Messieurs! ce diable de sergent est un excellent camerade*, tylko czasami na kaznodzieję zakrawacie.

— Panie hrabio! nie tutajby było miejsce twoje, żeby..

— *Laisse donc mon cher, ce qui est fait est fait?*

— Lubię życie, a że zamiast porucznikiem w gwardyi, jestem u was żołnierzem, *cela m'arrange*. Mam więcej kolegów, których bawię i którzy mnie bawią. *Je prends la vie telle qu'elle est*. Niech żyje wesołość! czy to w salonach Paryża, czy w karczmie za szczebrzeską bramą, to mi wszystko jedno!—Tak mówiąc, tyknął piorunem drugi kieliszek wódki i szklaną portera zakąsił.

List Julii leżał na stole, zobaczywszy go, porwał i zaczął głośno czytać:

— „Kochany bracie! dziś wielka feta u nas, urodziny moje. Spodziewamy się wiele osób, które papa, chcąc ten dzień wesoło spędzić, pozapraszał. Będzie Józia, będzie kilku ułanów z Krasnegostawu, będziemy tańcować ochoczo, bo papa zamówił muzykę żydków z Biłgoraja; wiem jak oni od ucha grają.

Papa mówi, że ty nie będziesz mógł być z nami, ani P. Z., którego papa bardzo lubi. Ja jednak mam jakieś przecucie i nie tracę nadziei oglądania

cię. Ach jakby to było dobrze, żebyś sobie choć na sześć godzin mógł wyrobić urlop.

Ściskam cię serdecznie. *Julia.*

„*Eh bien! voilà qui est diablement embêtant. Que ferez vous?*” Skończyło się śniadanie. Kordysz pożegnał nas i poszedł za sprawunkami z Żelskim. Wiedział o naszym projekcie i radzie kapitana. Adolf nie potrzebował odpisywać.

— Słuchajcie, koledzy! Kiedy na balu być nie możecie i naturalnie nudzić się macie *a vous avaler la langue* postanowilem nie opuścić was i rozrywać sentymentalne serca wasze.

— Pokażę wam, *ce que c'est qu'un bon compagnon*. Pamiętam, kiedy mnie wsadzili do lochu *pour changer* na trzy miesiące, w bardzo lekkim kostymie, za ten głupi mój pojedynek z junkrem, z kąd wyszedłem bez galonków i bez nadziei epoletowej, wszyscy, co dzielili ze mną te podziemne salony, ciągle zanosili się od śmiechu, takem ich bawił i tak mnie to bawiło, że mi nakoniec żal było opuszczać tych biedaków. Byłbym z chęcią dłużej został, żeby mnie nie spotkał ten wielki zaszczyt, być wywiezionym i oddanym na prywatną zabawę naszemu pułkownikowi, który gotów przysiądź, że zrobi ze mnie kapucyna. *Mon Dieu*—Kapucyna ze mnie! Ha! ha! ha! *c'est plus que ridicule*. Ze mnie, hrabiego Krajewskiego, wychowanego jak *monsieur le Vicomte d'Allard*. Ze mnie! syna najweselszych rodziców. Ze mnie, co czerpałem um w Dreźnie, a między paryżankami skończyłem edukację. Ze mnie, co miałem w życiu więcej pojedyneków, niż major K. włosów na całym ciecie. *Parbleu!* Poszedłem do wojska w roku 1815. Zdawało mi się, że noszę buławę marszałkowską w tornistrze. *Cela n'a pas reussie, tant pis pour l'armée*. Jestem dziś żołnierzem w drugim pułku strzelców pieszych. *Mais dites?* widzieliście kiedy weselszego i dowcipniejszego kolegę? *Un peu mauvais sujet*.—Ależbo i Murat nie był lepszym za młodu. *En-*

fin *papa* umarł niedawno. *Maman vit, et ne me donne rien. Mauvaise preuve d'un attachement maternel*. Woli wspierać, karmić i odziewać *avec ses vieilles guenilles*, jakieś nudne, stare, niby nabożne dewotki. Traci czas drogi, *avec son directeur de conscience* barczystym kapucynem i koniec.

— *J'ai pris l'habitude du métier*. Żyję tem, co mnie otacza. Żyję wesolo *ayant pour devise: Vive la joie, quand même*. Dopatrzył resztki po kieliszkach i w butelce, zlał do kupy i wypił. Po namyśleniu się rzekł:

— *Ecoutez! je ne suis pas bête*.—Widzę i czuję, co się święci. Kapitana inspekcji znam na wylot, to buljon poczwicości. *Je parie donc, tout ce que j'en possède pas*, że wy dziś do majora pojedziecie. *C'est bon-mais*. Tu sęk. *J'irai avec vous; au vous n'irez pas du tout nom d'un nom*.

Struchleliśmy obydwu na tę przemowę Krajewskiego.

— *Ecoutez vous!* weźcie mnie ze sobą, nie będziecie żalowali. Ty, Adolfie, pożyczysz mi cienki mundurek. Ty zaś koszulę i krawatę, *pour que je puisse paraître convenablement et tout est dit*.

— Co tu z nim robić?

— Trzeba go wziąć—powiedziałem Adolfowi.—Ja go już będę pilnował, żeby nas nie zgubił.

Krajewski siedział i kiwał założoną nogą na nogę.

— Krajewski!...—zawolałem.

— *Plâit il?*—rzekł, patrząc z podełba.

— Krajewski! Ty jesteś jeden z najdystyngowańszych ludzi. Na twoje słowo postawiłbym wszystko, co mi najdroższego na świecie, ale jak się za-balamucisz, jak się rozmarzysz winem, jak sobie coś do kogo upatrzysz, zapomnisz o wszystkim i gotówes się wpakować w szary mundur, a nas w karamaty.

— *Foi de Krajewski* cały mój rozum zbiorę

w kupę. Zobaczysz co to jest *un homme de bonne société*.

Pospuszczaliśmy nosy. K. spostrzegł nasze rzadkie miny, roześmiał się homerycznie.

— *Pauvres innocents! Vous avez peur.* Żaden Polak się nie boi. Żaden, niczego; prócz zhańbienia. Bądźcie dobrej myśli. Ja komendę obejmuję do wyjazdu, a ty Józefie, co czasem także takie kazania prawisz, żebyś z oczu stu dewotek rzekę łez wycisnął, dyryguj powrotem. *Ecoutez vous autres!* Znaście we mnie niespokojnego i bardzo ciekawego ducha. Stworzony byłem jak Napoleon, na wielkiego człowieka. Jak on, jestem mały. Jak on, spać nie mogę; dwie godziny, a trzy najwięcej. Jak nie śpię, układam plany na przyczy. Jak wstanę, wykonywam. Cały mój geniusz obracam na to, gdzie i jakby się zabawić; jak zabić i skrócić czas, co mi od ciężkiej pozostaje służby. Chodzę, szukam *j'exploite le pays*.

W tych wędrówkach poznałem na przedmieściu pocziwego mieszczanina, kołodzieja jak Piast, starego weterana wielkiej armii. *Il a par parenthèse, une aussi jolie fille.* Łzę mu o moich wojennych wyprawach *que je n'a jamais faites.* Słucham cierpliwie, jak mi opowiada o Mantui, Saragocie i San Dominogo. Jem, co mi da, piję z nim piwo jak smok; a do córki oczy przewracam. *Mais il ne s'agit pas de cela.* Mój legionista ma doskonale szkapy. Proste, ale mocne sanki. Najmie nam dziś pewnie, a jego *imbécile de fils*, co zawsze rozdziawia gębę, gdy coś nie stworzonego opowiadamy, powiezie nas. *C'est la seule chose, qu'il sait bien faire.*

Krajewski wziął z sobą mundur Adolfa. Pośliśmy obydwa do mojej kwatery, gdzie mu reszty ubrania pożyczyłem. Przebrawszy się, pokrył to wszystko płaszczem i poleciał po konie, dawszy nam za godzinę *rendez vous* za fortecą.

Zastaliśmy go już na umówionem miejscu, z sankami dobrze wysłanemi słomą, pokrytą szeroką we-

retą. Nie tracąc czasu, posiadaliśmy jak można najwygodniej, a syn kołodzieja z wiatrami poleciał.

Mróz był mocny, ale powietrze spokojne. Droga dobrze ujeżdżona, pomimo gęstych zatok.

Koło godziny trzeciej po południu stanęliśmy przed gankiem majora. Pozrzucawszy płaszcz, zatarłszy ręce, weszliśmy do pokoju. Adolf przedstawił Krajewskiego rodzicom, który z gospodynią domu, jak wiadomo Francuzką, zaczął jej językiem bardzo salonową rozmowę i od razu zaskarbił sobie jej względy.

Nadbiegła Julia, uściśkała serdecznie brata, podała mi rączkę, którą serdecznie ucałowałem. Zaczęła się wesół rozmowa między młodzieżą. Poważniejsi w osobnych stali lub siedzieli kupkach.

Nigdy nie widziałem Krajewskiego w tak miłym i przyzwoitem usposobieniu. Bawił damy wesółmi dowcipami, rozmawiał ze szlachtą, śmieszył ulanów, a z gwardyanem Bernardynów z Radecznicy zawarł sojusz przyjaźni.

Dano obiad, przeszliśmy do izby jadalnej. Stół duży, skromnie, lecz bardzo obficie zastawiony, dodawał apetytu, a szereg butelek na przyległym stoliku świadczył, że się biesiada ma skończyć wesół.

Udało mi się, zręcznie manewrując, usiąść obok Julci, z którą przez cały obiad rozmawialiśmy tak, jakgdyby prócz nas nikogo przy stole nie było. Czasem tylko kolejny kielich przerywał moje zajęcie. Krajewski emablował koło dam starszych, siedzących przy gospodyni. Adolf gził się z wesółą i pustą Józją, resztę gości obojej płci podzielało ogólną wesół.

Po ostatnim toaście „kochajmy się” wstano i nanowo połączono się w różne kółka, coraz głośniejsze.

Korzystając z ruchu ogólnego, oświadczyłem się z moją dozgonną i gorącą miłością Julii. Słuchała z uśmiechem na twarzy i zarumienionem licem, ale

żadnej mi jeszcze blizkiej nadziei nie dawała, mówiąc:

— Bądźmy cierpliwi. Pan jeszcze za młody; poczekajmy, dopóki oficerem nie zostaniesz. Teraz bawmy się wesoło, nie myśląc o przyszłości.

Zabolało mnie to jej oświadczenie, ale odgłos skrzypków wchodzących do pokoju, ożywił zasępio-ny humor.

Puścili się wszyscy za starszyzną poloneza; poczem żydki zagrali walca. Krajewski zaprosił majorową i obleciawszy z nią kilkakrotnie salonik, ukłonił się elegancko, porozmawiał jeszcze kilka minut z damami i zniknął w przyległym pokoju.

Tańce szły ochoczo, przerywane tylko czasem roznoszonemi chłodnikami, herbata, winem i słodyczami.

Ile razy tańczyłem z Julią, a ta wsparta na mojem ramieniu unosiła się w powietrzu, tyle razy największa błogość napępiała serce moje i przenosiła w niebiańskie strefy. Wszyscy byli w nieustannym ruchu. Cała młodzież i panny nie siadały prawie ani na chwilę, czas pędził lotem błyskawicy.

Nakonec z bólem serca przypomniałem sobie, że północ się zbliża i że trzeba opuścić to czarujące towarzystwo, żeby wrócić i zaprząć się nanowo w jarzmo nudnej służby. Korzystając z oddalenia się chwilowego Julii, pobiegłem do przyległego pokoju, z którego głośny gwar się wydobywał. Wchodzę, zastałem Krajewskiego z gwardyanem i kilku starymi obywatelami przy stoliku koło wazy ponczu. Wszystkich twarze zarydzone. Wszyscy razem rozprawiają i gestykulują. Ani słowa w tej wrzawie zrozumieć nie można. Wszedł i gospodarz; zerwali się, otoczyli go, podnieśli na rękach do góry i chórem zanucili głośno, ale nie bardzo harmonijnie jakąś pieśń narodową.

Docisnąłem się do Krajewskiego. Wziąłem go za rękę.

— Już czas jechać.

— Jestem gotów, tylko wazę skończymy.

Wybiegłem szukać naszego woźnicę. Zastałem go gawroniącego się w sieniach. Kazałem zapręgać.

Pobiegł do sanek i zajechał. Tymczasem jeszcze ostatniego puściliśmy się z Julią walca z takim zapałem, jak gdyby to wirowanie zakończyć miało życie nasze.

Skończył się szalony taniec. Sam major napominał nas, żebyśmy się wybierali.

Pożegnawszy się jak najczulej, powskakiwaliśmy na sanki. Konie ruszyły z kopyta. Księżyc w pełni obsypywał brylantami śniegowe zamiecie.

Ledwieśmy ujechali półtzwierci mili spostrzegłem, że Krajewski, który bardzo przytomnie i przyzwyczajony wyszedł z domu, owiany raptem zimnem powietrzem, tak spać zaczął, że nie było podobieństwa dobudzić się go. Co chwila kiwał się tak, że o mało z sanek nie wypadał. Kazałem więc stanąć. Położyliśmy go z Adolfem na saniach; ja zaś stanąłem z tyłu na kopanicach, uważając, żeby nie wypadł. Adolfa także sen zmorzył. Nasz furman ciągle konie zacina i jedzie doskonale.

W tym szalonym pędzie zbliżaliśmy się coraz więcej do Zamościa.

Przejeżdżając przez małą wioskę, sanie poszły w zatokę, uderzyły tak silnie, że puścił trzymane w zmarzłych rękach drabinki i spadłem, zarywszy się głową w śnieg głęboki.

Zanim się wygramoliłem, zanim wynalazłem furazerkę, sanki już były tak daleko, że się ich dowołać nie mogłem. Pojechali, nie zważając, że mnie na nich niema.

Z tej wioski było jeszcze dobre pół mili do twierdzy. Skoczyłem do najbliższej chaty, w nadziei, że koni dostanę. Nie było, bo gospodarz pojechał po prowiant dla osady Zamościa.

To samo spotkało mnie w innych chatach.

Rozpacz mnie brać zaczynała, bo czas ucieka-
i, jak mi się zdawało, musiało już być po 3-iej z pół-
nocy. Nakoniec widzę światło w okienku dosyć po-
rządnej chaty. Wbiegam do niej z ostatkiem na-
dziei.

Trochę ognia mdłym płomieniem oświetlało iz-
bę, a z kąta, w którym stało łóżko, słyszę wydoby-
wające się jęki niewieście.

Zbliżyłem się, kobieta leżąca walcząc z cierpie-
niem, opowiada mi, że jej męża zajęli na forszpan,
a ona rodzi, nie mając nikogo przy sobie, oprócz ma-
łego dziecka w wiszącej kołysce.

Zaklina mnie na wszystkie świętości, ażebym
pobiegł do trzeciej chaty na lewo i sprowadził ztam-
tąd babę, co akuszerkę udaje.

Zapomniałem o mojem niebezpiecznem położe-
niu i pobiegłem po babę. Ledwom się dopukał. Ja-
kaś dziewczynka otworzyła. Wchodzę, pytam o ba-
bę, pokazuje mi, że leży na piecu.

Długo trwało, zanim się jej dobudziłem, była bo-
wiem należycie pijana. Ciągnę, ażeby ze mną poszła
do sąsiadki, a ona na to:

— Ja nie mogę pójść, bo dałam buty do szew-
ca, daj mi swoje, to pójde.

Nie mogłem tego uczynić, ponawiam prośby
i groźby, nakoniec baba wybełkotała:

— Kiedyś taki uparty, to mnie zanieś.

Nie tracąc czasu, biorę babę na barana i ru-
szam.

W tej wiosce chata od chaty odległa. Baba za-
czyna krzyczeć, że się jej nogi po śniegu włóczą.
Zobaczywszy koło ścieżki pień ogromny, przybliży-
łem się do niego, obróciłem się tyłem, kazałem babie
stać na pniaku i poprawić się. Tylko co puściła
splątane ręce pod moją brodą, oglądałem się, żeby jej
się kazać spieszyć.

Patrzę, baby niema, zniknęła.

W tej chwili przyszły mi na myśl czarownice.
Włosy, choć krótko ostrzyżone, podniosły furażerkę.
Ochłonawszy z przesadnego przestachu, zaglądam
w pień. Patrzę, a w nim studnia cembrowana tak
zwanym kadłubem, jak to zwykle w lasach na pia-
skach bywa.

Skoczyłem do blizkiego z sosnowych żerdzi
zrobionego plotu, wrywam żerdź, wpuszczam w wo-
dę, lecz ani dna, ani baby domacać się nie mogę.
Powtórzywszy razy kilka moje poszukiwania i przeko-
nawszy się, że wszystkie moje wysilenia daremne,
przyszła mi na myśl moja własna pozycja. Rzucam
więc babę w wodzie i pędem lecę do Zamościa.

Szczęściem przybiegłem w tej samej chwili, kie-
dy otwierano bramę, przy której już koledzy cze-
kali.

Nic nie mówiąc, każdy z nas pobiegł do swo-
jej kwatery.

Rzuciłem się ubrany na łóżko, złamany fatygą
i umęczony wrażeniami tej nocy.

Ból głowy okropny dręczyć mnie zaczął. Pomi-
mo tego, nie chcąc zważać na cierpienia, poszedłem
na mustę. Ledwie mogłem dokończyć rannej in-
strukcyi, zawlokłem się do kwatery, gdzie położyw-
szy się nanowo, uczulem okropnie rozwijającą się
gorączkę.

Od tej chwili wszelką straciłem przytomność.
Jak długo trwał ten stan, jakim sposobem i przez
kogo przeniesiony zostałem do lazaretu, nic nie pa-
miętałem.

W gorączce snuły mi się po głowie straszne
widziadła, czarownice z nietoperzowemi skrzydłami,
które się do mnie rwały i chciały mnie z sobą uno-
sić w powietrze, przed którymi zasłaniała mnie biała
postać Julii; wydawałem okropne jęki i zrywałem się
tak, że mnie do łóżka wiązać musieli.

Wreszcie osłabłem zupełnie, nie mogłem ruszyć żadnym członkiem. Nakoniec przyszła przytomność, otworzyłem oczy, rozglądając się na wszystko, co mnie otacza, nie mogąc sobie zdać sprawy ani z tego, co się ze mną dzieje, ani z miejsca, w którym się znajduję.

W niewielkiej odległości od mojego łóżka stała lampa, rozlewająca bardzo mdłe światło, które się migotało i wszystkiemu, co mnie otaczało, fantastyczne nadawało formy.

Przyzwyczajwszy oczy do tego blasku, spostrzegłem siedzącą koło mnie postać Krajewskiego.

Zawołałem na niego cichym głosem. Zbudził się i dał mi znak, żebym ani słowa nie mówił. Podał mi stojący koło łóżka jakiś napój chłodzący, który wychyliłem do dna. Jeszcze raz napomniął, ażebym nic nie mówił i poszedł zameldować lekarzowi, żem odzyskał przytomność.

W pół godziny przyszedł nasz pocziwy lekarz, stary Niemiec, wziął mnie za puls, obmacał głowę, kazał przygotować nowe lekarstwo, zalecił milczenie, największą spokojność i poszedł.

Na moje szczęście, nie było tym razem chorych podoficerów w pulku, tak, że oprócz mnie, nikt w tej sali nie leżał.

Krajewski, który sobie wyrobił, że wolne od służby chwile przy mnie mógł przepędzać, nie odstępował mnie prawie przez cały czas choroby.

Od niego dowiedziałem się, żem leżał 21 dni całkiem bez przytomności, okładany synopizmami, wizykatoriami, z lodem na głowie, to też kark, ręce, nogi i krzyż okrutnie pokaleczone były przez tę kurację.

Poszedł Krajewski na mustre, mnie przyniesiono z lazaretu czarkę bulionu, który wypiwszy, za snąłem spokojnie do wieczora.

Przebudziwszy się, orzeźwiony trochę świeżem powietrzem, bo wczesna wiosna pozwoliła pierwszy

raz otworzyć okna lazaretu, ujrzałem koło mego łóżka Adolfa i Krajewskiego.

Ucalowali mnie, witając jakby wracającego z tamtego świata, przyczem Krajewski nie zapomniał wypytywać się o wiadomości z nieba i piekła.

Dozorca przyniósł mi jakiś kwaskowaty napój, który mi bardzo smakował. Gdy się oddalił, opowiadał mi Krajewski, com wygadywał i wykrzykiwał w gorączce, jak się bał, żebym się nie zdradził z całą naszą wyprawą do majora.

Z tego powodu, ile tylko mógł mieć czasu, nie odstępował odemnie. Poznałem jego pocziwe serce i szlachetny charakter, który przez tyrańskie traktowanie tak się spodlił później rozpustą, że przeszedłszy przez wszystkie stopnie kar wojskowych, gdy w 1830 r. z kompanii poprawczej awansował na oficera, stał się zupełnie niezdolnym do służby i skończył na tem, że się w jakimś szynku w Warszawie na śmierć zapił i pod ławą ducha wyzionął.

Długom się jeszcze nie mógł podnieść z łóżka. Pewnego dnia przyszedł Adolf zmartwiony i opowiedział mi, że wkrótce po naszej bytności u jego rodziców, ci dostali wiadomość z Bordeaux, że stryj majorowej, bogaty kupiec, umarł bezdzietnie, i że na nią spada połowa całego majątku; że pojechali natychmiast do Warszawy, zkąd wzięwszy paszport, udali się do Francji i że od czasu wyjazdu ich z Warszawy żadnego, pomimo obietnicy, nie odebrał listu, co go bardzo niepokoi.

Uspakajałem go ile możności, perswadując, że odległość i interesy mogą być tego przyczyną; ale perswazyje moje nie skutkowały, jakieś przeczucie dręczyło biednego Adolfa.

Jak mówiłem, zdrowie i siły moje bardzo powoli powracały, nie mogłem się jeszcze utrzymać na nogach, a do tego niemało się przyczyniała myśl o Julii o kilkaset mil odemnie oddalonej, która całe

moje posiadała serce. Myśl ta niepokoiła mnie w samotności, a w nocy sen odbierała.

Jednego poranku, leżąc samotnie zatopiony w marzeniu, usłyszałem długie niezwykle bębnienie w odległości od lazaretu; byłem bardzo ciekawy, co by to znaczyć mogło, ale nie dowiedzieć nie mogłem, bo dopiero o południu miał nadejść lekarz.

Przed południem wpadł Krajewski, blady, trzęsąc się prawie, rzucił z całej siły furazerkę na ziemię, siadł na przyległym łóżku, obydwoma rękami zasłonił sobie twarz i tart z wściekłością czuprynę.

— Co ci jest? — zapytałem ze współczuciem.

— Zaraz ci wszystko opowiem, niech tylko przyjdę do siebie.

Przeczuwałem coś okropnego, wiedząc, że na Krajewskim lada co wrażenia nie zrobi.

Odetchnął silnie, przeszedł parę razy po sali, załamał ręce tak, że wszystkie palce zatrzęszczały, przetarł oczy, usiadł naprzeciw mnie i mówi:

— Słuchaj! Pamiętasz Migórskiego i jego towarzyszy zbiegłych, złapanych przed zapustami?

— Pamiętam, coż się z nimi dzieje?

— Po długim śledztwie, z którego to powodu urlopu nie mogliśmy dostać, przyszły na koniec wczoraj wieczorem wyroki z Warszawy. — *Sacre nom de Dieu!* dziś była egzekucja. Wielki Książę skazał Migórskiego na 800, a dwóch drugich na 600 batogów. Dano rozkaz, ażeby cały garnizon stanął pod bronią i uszykowany został w czworobok na placu broni. Na środku stała ławka z pasami poprzecznymi.

Przyprowadzono winowajców pod eskortą i postawiono ich naprzeciw ławki.

Uderzono zbór w bębny, wszystko ucichło. Audytor przeczytał wyroki łagodzące niby karę śmierci, na którą byli skazani.

Biedaki pobledli, jak śmiertelne prześcieradła

Pobledli także żołnierze i aresztanci, którzy czwartą ścianę czworoboku pod mocną eskortą formowali.

Znów się odezwały bębny, które nie ustawały aż do końca egzekucji.

Przypinano jednego po drugim pasami do łaćki. Po dwóch oprawców biło obnażone ciało. Rożański, oficer żandarmów, rachował i w pularesie notował setki, a po każdej setce zmieniali się oprawcy dla wypoczynku.

Oprócz ponurego odgłosu bębnow nikt prawie nie oddychał, wszyscy stali jak skamieniali.

Skończyła się egzekucja. Poodnoszono zbitych nieboraków na noszach do lazaretu, na salę przeznaczoną dla więźniów. Rogate dusze, żadna nie uleciała. Garnizon ponury w milczeniu pomaszzerował do koszar, z kądem, jak tylko mogłem się wyrwać, przybiegłem do ciebie, żeby ci tę okropność opowiedzieć.

Opowiadanie Krajewskiego tak mnie przeraziło, że znowu mocnej dostałem gorączki, tak, że pocciwy nasz lekarz zaczął się o mnie obawiać.

Młodość i silna natura zwyciężyła recydywę.

Po trzech miesiącach przyszedłem do siebie i mogłem wstąpić w szeregi, gdyż na moje miejsce przysłano z Warszawy innego instruktora grenadierów gwardyi.

Nadeszła też dla mnie z Bordeaux wiadomość bardzo smutna. Julia pisała do Adolfa, że ich kochany ojciec zmarł, oni zaś na czas nieograniczony pozostają we Francji dla układów ze współsukcesorem.

Chodziłem jak cień; mechanicznie odbywając służbę i nic, nawet Krajewskiego cynizm, ani serdeczne współczucie Żelskiego, ani boleść Adolfa nie mogły na mnie wywrzeć najmniejszego wrażenia.

Poszliśmy, jak zwykle po żniwach do obozu, po skończeniu którego zostałem w Warszawie odko-

menderowany do kompanii karabinierów, a na wiosnę doczekałem się tyle pożądaných niegdyś, a teraz zupełnie dla mnie obojętnych szlif podporucznikowskich.

Wstał Józef z fotelu, złożył kajecik, którego mniejszą połowę przeczytał.

— Przepraszam—rzekł—żem was znudził memi podchorążowskiemi wspomnieniami. W tamtym czasie innych jeszcze nie było.

Serdecznie podziękowaliśmy mu wszyscy, a ja zapytałem:

— Cóż tam więcej jest w twoim pulariesie?

— To już mniej więcej należy do historii, to są fakty przez wielu znane, a przez wielu innych przekręcane, fakty opisujące podjęte prace, poświęcenie się wielu, których nazwiska zostaną na wieki ukryte, a które wywołały prolog do tragedji 1831 r.

— Czy nie raczysz nam go przeczytać?—zapytałem.

— Nie. Dałem sobie na to słowo i dotrzymam świącie. Ale ja długo żyć nie będę, czuję to, a po mojej śmierci tobie, przyjacielu, przekażę te notatki

Uściskaliśmy się z rozrzewnieniem. Wszyscy powstali, nawet pan Franciszek, na którego twarz i czoło kroplisty pot wystąpił, siedział nieruchomo przez cały czas czytania, ale nic nie słyszał, ani słuchał, gdyż mu ciągle katar i suchoty stały przed oczyma.

— Jak się pan ma?—zapytał p. Jakób.

— Pocę się okropnie i boję się tego.

— Niech się pan nie boi; wszak sam widziałeś, jak dzieci moje na taki sam katar okropnie chorowały, a gdy raz przyszły poty, zupełnie wyzdrowiały i teraz słyszysz pan, jak dokazują w salonie?

— To się dzieci pana pociły?—rzekł p. Fran-

ciszek, obcierając twarz i czoło, a oczy mu się rozjaśniły wesoło.

Wszedł służący prosząc na wieczerzę. Przeszliśmy do salonu z damami pod ręce. Pan Franciszek poszedł do swego pokoju, zmienił szlafrok na cieplejszy surdut, przyszedł za nami i jadł za czterech.

K O N I E C.



26955

OD REDAKCYI.

P. S. T. w Aleksandrowie. Radzimy zwrócić się z pytaniem do dyrekcji którego z gimnazyów krakowskich, np. Św. Anny.

Prenumeratorowi z Kijowa. Kaczkowskiego chcemy dać „Olbrachtowych rycerzy”, tylko dotychczas nie znaleźliśmy egzemplarza. Dzieł Byrona niktby dziś nie czytał. O przekładach z rosyjskiego pamiętamy, ale postaramy się o rzeczy nowsze, niż Gogola. Za uznanie dla działu naukowego dziękujemy.

Litwince. Czy „Obrazy Litewskie” Chodźki nie są zbyt znane, żeby je przedrukowywać w „Bibliotece?” Syrokomlę dałibyśmy bardzo chętnie, lecz prawo wyłącznej własności posiada firma Gebethnera.

P. G. Sz. List odesłaliśmy redakcyi „Wędrowca.”

P. P. S. w Saratowie. Wydanie książkowe „Krzyżaków” Sienkiewicza ukaże się po skończeniu powieści w „Tygodniku”, to znaczy w jesieni r. b. Nie będzie to jednak wydanie tanie, gdyż będzie stanowiło honorarium autora. Traktowaliśmy o nabycie następnego wydania, taniego, i ofiarowaliśmy za nie autorowi 10,000 rs., lecz nie chciał się zgodzić. Powieści Jokaja „Królewęta” nie wydamy. Nabyć ją można w księgarniach. Na inne pytania nie możemy jeszcze dać odpowiedzi.

Pani Kazimierze w Mińsku. Należy się zwrócić z zapytaniem do Przetłóżonej Sióstr Miłosierdzia w Warszawie.

Pani E. N. w Petersburgu. Jakim sposobem Szan. Pan doszła do przekonania, że w „Bibliotece” wychodzi „zawiele literatury i historii polskiej”—nie rozumiemy. Kraszewskiego daliśmy już kilka rzeczy. O Sienkiewiczu objaśniamy powyżej.

Przyrodnikowi z Moskwy. Sz. Pan ma słuszość, że „zamiast popierać—krytykujemy.” Rzeczywiście, u nas krytyków jest więcej, niż autorów, a jakie nieraz spotykają „Bibliotekę” zarzuty, to doprawdy śmiechu warto. Ludzie, nie mający pojęcia o warunkach, w jakich pracujemy, chcieliby mieć zaspokojone każdy swoje indywidualne i w dodatku chwilowe upodobania; nie pamiętając o tem, że my dla jednej osoby „Biblioteki” wydawać nie możemy. Tem serdeczniej też dziękujemy za słowa uznania, które w ostatnich czasach coraz częściej odbieramy.

P. G. S. w Szawlach. Uprzejmie dziękujemy za propozycję, ale dzieło Jaruszewicza jest za obszerne dla nas.

P. J. M. we Lwowie. Mamy już tak wiele powieści piora kobiecego w zapasie, że z taskawej propozycji w tej chwili korzystać nie możemy.

P. St. K. Polecamy rozpoczęte obecnie wydawnictwo „Przewodnik Król. Polskiego”, opracowanego przez A. Bobińskiego i J. M. Bazewicza. Całość wyjdzie w 2 tomach z dodatkiem wielkiej mapy ściennej. Prenumerata (z oprawą) rs. 7. Na przesyłkę każdego tomu dołącza się 65 kop., mapy 70 kop. Adres wydawcy pana J. M. Bazewicza w Warszawie: Plac Warecki Nr. 8.

P. W. R. „Listy z Brazylii” pana Leona Bieleckiego w „Gaz. Pol.” są bardzo sumiennie pisane. Dlaczego „Gaz. Pol.” w Bibliografii książek wychodzących nigdy nie wspomina o „Bibl. Dz. Wyb.”, nie wiemy—prawdopodobnie z powodu braku miejsca.

P. Wróblewskiemu w Łucku. „Biblioteka” zaczęła wychodzić nie 13-go, lecz 1-go października 1897 r. i wychodziła

stałe, bez żadnej przerwy co tydzień, czyli po 13 tomów kwartalnie, licząc w to i nienumerowane większe 4 tomy „Hist. Lit. Pol.” Chm., których się nie numeruje dlatego, żeby mogły złożyć całość oddzielną. Szan. Pan otrzymał te tomy, czyli wszystko, co wyszło do 1-go kwietnia r. b. Zatem jesteśmy w porządku. Jak Szan. Pan mógł nawet przypuszczać, że „Administracya kończy kwartał o dwa tygodnie wcześniej, żeby nie dać należnych książek!!”

P. Y. Ani z dzieł Cyrana, ani „Orle” Rostanda nie jest dotychczas przetłómaczone na język polski. Wydawać nie będziemy.

P. H. O. Zmiana adresu kosztuje 20 kop. Za uznania dla rubryki odpowiedzi dziękujemy.

P. A. S. w Wiesbaden. Prosimy o przysłanie oryginału do przejrzania, oraz kilku kartek przekładu na próbę.

Prenumeratorowi z Senatorskiej. Przedewszystkiem poszukujemy „Olbrachtowych rycerzy.” O innych pomyślimy później. Portret damy tak, jak Pan żąda. O „Krzyżakach” pisałyśmy powyżej.

Tu nie chodzi o „trochę dobrej woli”, tylko co najmniej o 15,000 rs., bez których autor „Krzyżaków” nie sprzeda nawet *trzeciego* wydania. Ponieważ zaś przy niskiej cenie „Biblioteki” ta suma nie mogłaby się wrócić, trudno żądać od wydawcy tak wielkiej ofiary. Wydanie byłoby możliwem tylko w takim razie, gdyby liczba prenumeratorów „Biblioteki” podwoiła się. Inne życzenia postaramy się uwzględnić.

P. S. w Glinicach. Najlepszy przewodnik po Warszawie wydany przez redakcję „Wędrowca”, kosztuje 1 rs. Oprócz tego istnieje przeważnie wypełniony ogłoszeniami „Przewodnik ilustrowany po Warszawie i Łodzi i miejscach fabrycznych” Skińskiego, kosztuje 15 kop., nadto dawniejszy (1892) „Przewodnik po Warszawie” W. Czajewskiego, 45 kop. Przewodnika po Częstochowie niema; są tylko albumiki obrazkowe, z których polecamy kolorowaną „Pamiętkę z Jasnej Góry”, wyd. Gebethnera, cena zniż. 30 kop. Na żądanie może wystać wszystkie te

wydawnictwa księgarnia Wendego w Warszawie, za zaliczeniem pocztowem.

P. A. P. Powieści Suttnerowej daliśmy tytuł „Precz z orężem!” ponieważ w oryginale ma tytuł: „Die Waffen nieder!” a nie „Śladem śmierci.” Przekład był umyślnie dla nas wykonany. — Dzieła Sienkiewicza istnieją już w tanich wydaniach.

P. P. Żaden Polak nie jest w Cesarstwie ministrem.

P. Z. M. Projekt Tow. handl. kolon. we Lwowie nabył od rządu brazylijskiego większych obszarów, celem parcelacji, przyjdzie do skutku niewątpliwie. Udziały po 50 koron = 25 guldenów przyjmuje Bank Zaliczkowy we Lwowie. W Warszawie bliższych informacji udzielić może Bank Handlowy. Interes w zasadzie dobry, tylko, jako dotychczas, prowadzony bez żadnej energii.

P. J. R. Nie mieliśmy zamiaru wydawania książki o Łowiczu. Odpowiadaliśmy tylko na pytanie jednego z prenumeratorów co do istnienia takich książek.

P. J. W. z F. Obawiamy się, czy przedruk „Bajek” Krasickiego nie byłby źle przyjęty przez czytelników, i narazie przynajmniej nie możemy spełnić życzenia Sz. Panów.

P. M. W. N. w Łodzi. O Fizyce myślimy, ale nie łatwo znaleźć odpowiednie dzieło.

P. B. A. w Złotnikach. Odpowiadamy powyżej. Za wskazówki dziękujemy.

P. W. A. Autor o którego Sz. Pani zapytuje, mieszka na Marszałkowskiej, 90.

P. J. O. W. Kwestyę początku wieku wyjaśniliśmy już dostatecznie.

DOTYCHCZAS WYSZŁY:

Tom.

1. Juliusz Słowacki. **Powieści poetyckie**, z przedmową *Piotra Chmielowskiego*.
- *2, 3 i 4. Bolesławita. **Tułacz**, opowiadanie historyczne, z przedmową *Adama Pługa*.
5. Gustaw Le Bon. **Psychologia rozwoju narodów**, z przedmową *Juliana Ochrowicza*.
- *6. Eliza Orzeszkowa. **Trzy nowelle**, z przedmową *Teodora Jeske-Choińskiego*.
- *7. Iwan Turgeniew. **Z zapisek myśliwego**, w przekładzie i z przedmową *Klemensa Junoszy*.
- *8, 9 i 10. Fryderyk hr. Skarbek. **Dzieje Księstwa Warszawskiego**, z przedmową *Piotra Chmielowskiego*.
11. Wiktor Gomulicki. **Cudna Mieszczka**, obrazek warszawski, z przedmową *Teodora Jeske-Choińskiego*.
12. Jan Kochanowski. **Psalterz Dawidów**, z przedmową *Bronisława Chlebowskiego*.
13. Jan Zacharyasiewicz. **Zakopane skarby**, powieść, z przedmową *Teodora Jeske-Choińskiego*.
- 14 i 15. Bolesławita. **Czarna Perła**, powieść, z przedmową *Teodora Jeske-Choińskiego*.
- *16. Julian Mohort i Klemens Junosza. **Listy do przyszłej narzeczonej i Listy do cudzej żony**, z przedmową *Teodora Jeske-Choińskiego*.
- *17. Teodor Jeske-Choiński. **Stłumione Iskry**, powieść, z przedmową *Ignacego Matuszewskiego*.
18. Juliusz Słowacki. **Poemata**, z przedmową *Piotra Chmielowskiego*.
- *19. Władysław Smoleński. **Szkoły historyczne w Polsce** (główne kierunki poglądów na przeszłość) studyum, z przedmową *Aleksandra Rembowskiego*.
20. Maryan Gawalewicz. **Szkice i obrazki**, z przedmową *Teodora Jeske-Choińskiego*.
21. Piotr Chmielowski. **Liberalizm i obskurantyzm na Litwie i Rusi** (1815—1825), z przedmową *Bronisława Chlebowskiego*.
- 22 i 23. Franciszek Wężyk. **Władysław Łokietek**, powieść historyczna, z przedmową *Juliana Mohorta*.
- *24. Roman Pleniewicz. **Kształcenie młodzieży** (Nauczanie początkowe i średnie), z przedmową *Juliana Ochrowicza*.
- *25. Zygmunt Krasiński. **Irydyon**, z przedmową *Piotra Chmielowskiego*.

Tom.

- *26, 27, 28 i 29. F. Bernatowicz. *Pojata, córka Lezdejki*, z przedmową *Teodora Jeske-Choińskiego*.
- *30. Julian Ochrowicz. *Wiedza tajemna w Egipcie i Istota bytu*, z przedmową *Ignacego Matuszewskiego*, z ilustr.
- *31. Klemens Junosza. *Na zgłiszczach*, powieść wiejska z przedmową *Teodora Jeske-Choińskiego*.
- *32 i 33. Anna Potocka. *Pamiętniki*, tłumaczyła J. A., z przedmową *Piotra Chmielowskiego*.
34. H. Lachambre i A. Machuron. *Wyprawa Andréego balonem do bieguna*, w przekładzie M. O., z przedmową *Juliana Ochrowicza*, z ilustracjami.
- *35 i 36. Berta baronowa Suttner. *Prez z orężem!* historia prawdziwa, obrobił Włodzimierz Trampeczyński, z przedmową *Teodora Jeske-Choińskiego*.
37. Fryderyk hr. Skarbek. *Pamiętniki Seglasy*, z przedmową *Piotra Chmielowskiego*.
- 38 i 39. Fridtjof Nansen. *Podróż do bieguna północnego*, w przekładzie i z przedmową *St. Janiszewskiego*, z ilustr.
- 40, 41, 42. Wiktor Hugo. *Rok dziewięćdziesiąty trzeci*, z przedmową *J. A. Święcickiego*.
- *43. Klementyna z Tańskich Hofmanowa. *Dziennik Franciszki Krasieńskiej*, z przedmową *T. Jeske-Choińskiego*.
44. Wiktor Biernacki. *Nowe dziedziny widma*, z przedmową *Juliana Ochrowicza*, z ilustracjami.
- 45 i 46. Hr. A. K. Tołstoj. *Książę Srebrny*, z przedmową *J. A. Święcickiego*.
- *47. Juliusz Słowacki. *Beniowski*, z przedmową *Piotra Chmielowskiego*.
- *48 i 49. Teodor Tomasz Jeż. *Szandor Kowacz*, z przedmową *Piotra Chmielowskiego*.
- *50. Adam Krechowiecki. *Stella*. — *Tarłówna*, z przedmową *Teodora Jeske-Choińskiego*.
51. G. Krahmer. *Syberia i znaczenie wielkiej kolei Syberyjskiej*, w tłumacz. i z przedmową *Włodz. Trampeczyńskiego*.
- ***52, 53, 54. 58. *Dzieje Narodu Polskiego*, z przedmową *Władysława Smoleńskiego*, z mapą dawnej Polski.
55. Adolf Dygasiński. *Wilk, psy i ludzie*. — *W puszczy*, z przedmową *Teodora Jeske-Choińskiego*.
- 56, 57. Marek Twain. *Przypadki Huck'a*, z przedmową *J. A. Święcickiego*.
- *59. *Pamiętniki Franciszka Karpińskiego*, z przedmową *Piotra Chmielowskiego*.
- *60, 61. J. I. Kraszewski. *Barani Kozuszek*, z przedmową *Teodora Jeske-Choińskiego*.
62. Marya Rodziewiczówna. *Straszny Dziadunio*, z przedmową *Adama Pługa*.
- 63, 64, 65. L. Gallet. *Kapitan Czart. Przypadki Cyrana de Bergerac*, przekład Gomulickiego, z przedm. *Święcickiego* z ilustr.

Tom.

- 66, 67. Oskar Mysing. *Berezyna*, w przekładzie i z przedmową *Włodzimierza Trampeczyńskiego*.
- *68. Konstanty Rengarten. *Pieszko do Chin*, w przekładzie Henryka Wernica, z przedmową *Juliana Ochrowicza*.
- *69. C. F. Gordon Cumming. *Życie w Chinach*, w przekładzie d-ra Wik. Wolskiego, z przedmową *Juliana Ochrowicza*.
- *70. Michał Bałucki. *Przeklęte pieniądze*, z przedmową *Teodora Jeske-Choińskiego*.
- 71, 72. Ferdynand Hoesick. *Miłość w życiu Zyg. Krasieńskiego*, z przedmową *Piotra Chmielowskiego*.
- *73. 74. Kajetan Kraszewski. *Bartochowski*, z przedmową *Teodora Jeske-Choińskiego*.
75. 76. 77. 78. 79. 80. Cervantes. *Don Kiszot*, w przekładzie W. Zakrzewskiego, z przedmową *J. A. Święcickiego*, z ilustracjami G. Doręgo.
81. Edmund Biernacki. *Istota i granice wiedzy lekarskiej*, z przedmową *Juliana Ochrowicza*.
- 82, 83. Anna Neumanowa. *Obrazy z życia na Wschodzie*, z przedmową *J. A. Święcickiego*, z ilustracjami.
84. Stanisław Grudziński. *Polpanek*, z przedmową *Teodora Jeske-Choińskiego*.
- 85, 86. Teod. Tom. Jeż. *Nad rzekami Babyłonu*. Powieść.
87. Teodor Jeske-Choiński. *Historyczna powieść polska*. Studium krytyczno-literackie.
88. Włodzimierz Zagórski. *Wybór poezji*, z przedmową *Wiktora Gomulickiego*.
- 89, 91. *Pamiętniki Szymona Konopackiego*, z przedmową *J. A. Święcickiego*.
90. Maciej Wierzbński. *Nowelle*, z przedmową *T. Jeske-Choińskiego*.
- I. Piotr Chmielowski. *Historia Literatury Polskiej*, z przedmową *Bronisława Chlebowskiego*, z ilustracjami.
92. S. M. Roguski. *Wilcze gardła*, z przedmową *J. A. Święcickiego*.
- 93, 94. *Pamiętniki Sierżanta Bourgoigne'a*, w przekładzie i z przedmową *Walerego Przyborowskiego*.
95. Ks. A. Brykczyński. *Listy z Włoch o sztuce kościelnej*, z przedmową *Juliana Ochrowicza*, z ilustracjami.
- 96, 97. Oskar Mysing. *Wróg Napoleona*, w przekładzie Topora.
- 98, 99, 100. Maurycy Jokay. *Serce kamienne*, z przedmową.
101. Roman Zawiliński. *Słowacy ich życie i literatura*, z przedmową *J. A. Święcickiego*, z ilustracjami.
102. Sylweryusz Kondratowicz. *Całą siłą*, z przedmową *Teodora Jeske-Choińskiego*.
- II. Piotr Chmielowski. *Historia Literatury Polskiej*, z przedmową *Bronisława Chlebowskiego*, z ilustracjami.

Tom.

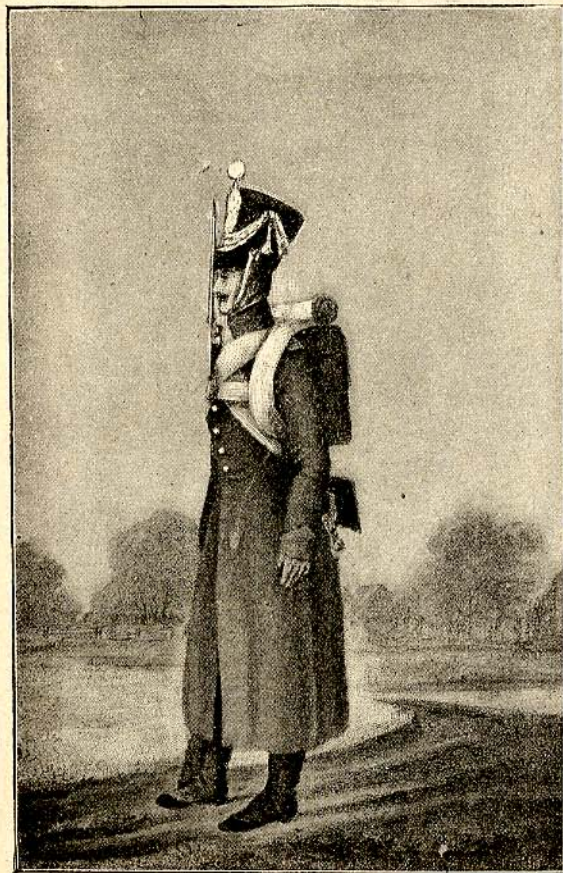
103. Gustaw Doliński. **Jak u nas chowano dzieci?** (Zarys dziejów pedagogii polskiej), z przedmową *Juliana Ochorowicza*.
104. Sewer. **Wśród pokus**, powieść z przedmową *Teodora Jeske-Choińskiego*.
105. A. Seidel. **Transwaal i Boerowie**, z przedmową *Juliana Ochorowicza*, z ilustracjami i mapką.
- 106, 107, 108. T. T. Jeż. **Ci i tamci**. Powieść z czasów kampanii węgierskiej.
109. Julian Mohort. **Przelotne wrażenia z podróży do Rzymu**, z ilustracjami.
110. Władysław St. Reymont. **Sprawiedliwie!** powieść z przedmową *Teodora Jeske-Choińskiego*.
111. **Pamiętnik Generała Wysockiego**, z ilustracjami.
112. Jan de la Brète. **Mój Wuj i mój Proboszcz**, powieść z przedmową *Juliana Mohorta*.
111. Piotr Chmielowski. **Historia Literatury Polskiej**, z przedmową *Bronisława Chlebowskiego*, z ilustracjami.
- 113, 114. Edward Foà. **Polowania na grubego zwierza w Afryce środkowej**, z przedmową *Juliana Ochorowicza*, z ilustr.
- Rok 1900.**
115. Wiktor Hugo. **Rzeczy Widziane**, (1848 — 49) w przekładzie i z przedmową *Juliana Ochorowicza*.
116. Henryk Szuman. **Wspomnienia Berlińskie i Poznańskie** (1848), z przedmową *Aleksandra Kraushara*.
- 117, 118, 119, 120. Teodor Jeske-Choiński. **Tyara i Korona**, powieść historyczna.
- 121, 122. Dr. Lassar-Cohn. **Chemia Życia Codziennego**, z przedmową *Juliana Ochorowicza*.
- 123, 124, 125. Hr. L. N. Tołstoj. **Zmartwychwstanie**, powieść, z przedmową *J. A. Święckiego*.
- IV. Piotr Chmielowski. **Historia Literatury Polskiej**, z przedmową *Bronisława Chlebowskiego*, z ilustracjami.
126. John Ruskin. **Gąłazka dzikiej oliwy**, w przekładzie W. Szukiewicza, z przedmową *Juliana Ochorowicza*.
127. Włodzimierz Zagórski. **Humoreski**.
- 128, 129. Walerya Marrené-Morzkowska. **Błędne koła**, z przedmową *Teodora Jeske-Choińskiego*.
- 130, 131. Szymon Konopacki. **Moja druga młodość**, trzeci i czwarty tom pamiętników.
132. Ewweli-Bej. **Suryawansa**. Powieść na tle życia Ormian tureckich.
- 133, 134. Dr Józef Siemiradzki. **Szlakiem wychodźców**, z przedmową *Juliana Ochorowicza*.
135. A. Komorowski. **Wspomnienia Podchorążego**, (z ilustracjami).



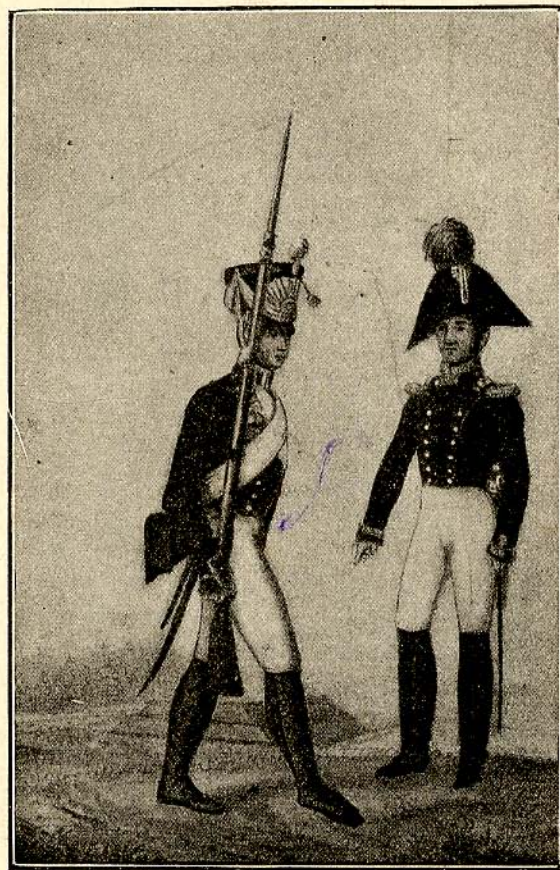
Wielki Książę Konstanty Pawłowicz.



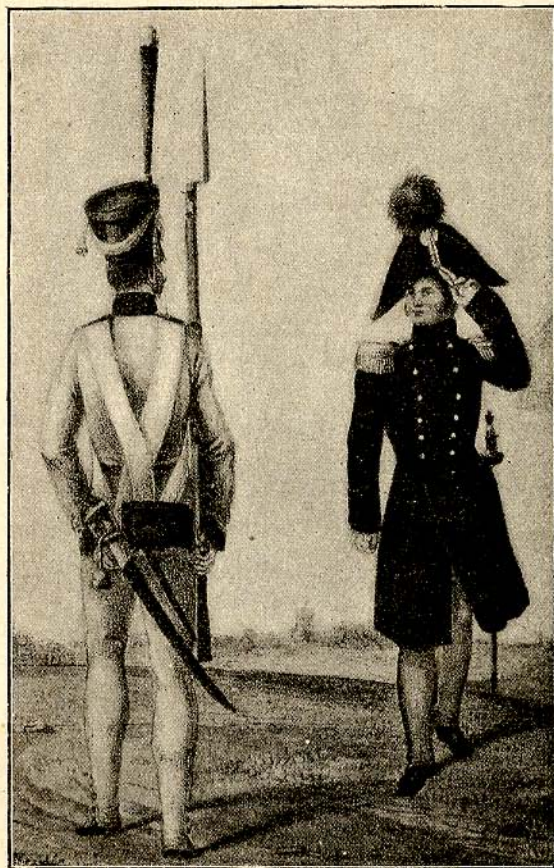
Przegląd wojska na Placu Saskim w 1824 r. (Z obrazu J. Rosena).



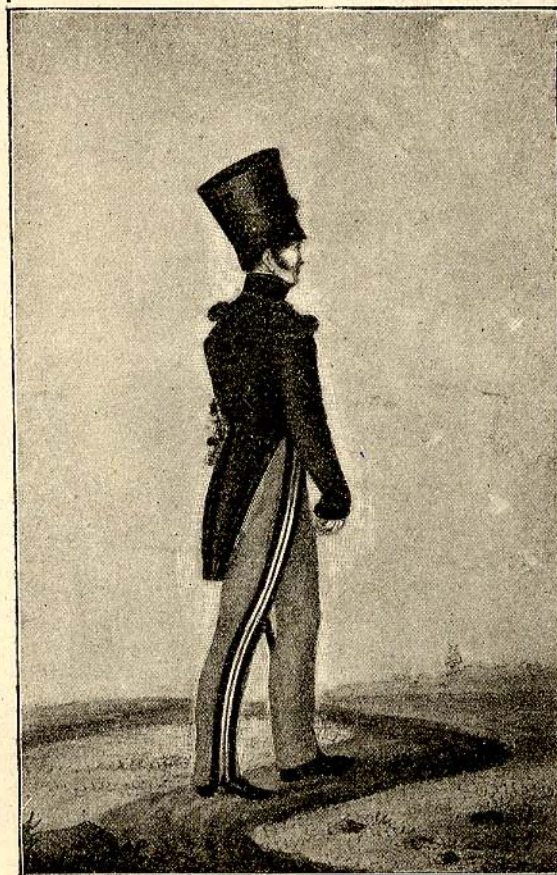
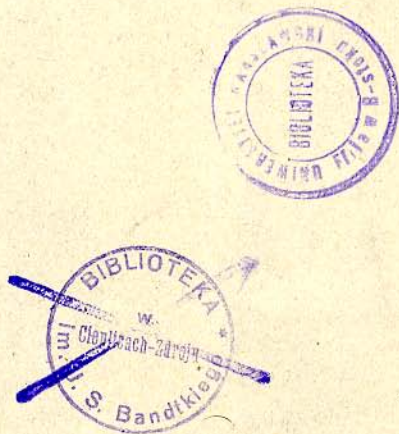
Pułk IV piechoty liniowej.
(Mundury b. wojska polskiego).
(Ze zbiorów Zygmunta Wolskiego.)



Szkoła korpusu kadetów.
(Mundury b. wojska polskiego).



Gwardya pulku liniowego J. C. M. W. Ks. Michała.
(Mundury b. wojska polskiego).



Oficer artylerji pieszej.
(Mundury b. wojska polskiego).



Pulk V piechoty liniowej, oficer i żołnierz.
(Mundur b. wojska polskiego).



Oficer IV pułku ułanów.
(Mundury b. wojska polskiego).

